Nr. 43. Kraków, dnia 23 października 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Pięćdziesięciolecie naszego samorządu.

Pół wieku temu. 28 kwietnia 1858 r. pojawił się manifest cesarski, wzywający wojska do wojny z Sardynią, i na drugi dzień Gyulai przekroczył rzekę Tessin; 4 czerwca bitwa pod Magentą i pierwsza klęska; 18 czerwca z obozu w Weronie drugi manifest do ludów, 24 czerwca bitwa pod Solferino i druga klęska; 11-go lipca preliminarz pokojowy z Napoleonem w Villa Franca. Już 17 maja nastąpiła zmiana gabinetu w czasie wojny włoskiej. Hr. Buol usunięty, w jego miejsce prezydyum i sprawy zagraniczne objął hrabia Rechberg, sprawy wewnętrzne hr. Agenor Gołuchowski, wkrótce potem objął Gołuchowski ministerstwo stanu i wprowadził habsburską monarchię z absolutyzmu na drogę konstytucyi.

20 października 1860 r. ogłoszono dyplom cesarski t. zw. dyplom październikowy, stanowiący do dzisiaj dla autonomistów prawno-polityczną podstawę rządów. W wiekopomnym tym akcie złożone są zasady porządku autonomicznego w Austryi w którym powiedziano, że „prawo wydawania ustaw, ich zmiany i zniesienia przysługuje koronie przy współudziale sejmów krajowych, ewentualnie Rady Państwa, do której sejmy swe delegacye wysyłają.“ Dla Rady Państwa zastrzeżono tylko kompetencyę dla spraw wspólnych, więc dla spraw: bankowych, kredytowych, celnych, handlowych, kolejowych, pocztowych i wojskowych — wszystkie zaś inne sprawy oddano ustawodawstwu sejmowemu.

Niestety dyplom październikowy pozostał jedynie — na papierze. Do wykonania go nie przyszło; jego autor hr. Agenor Gołuchowski nie utrzymał się, a miejsce jego na fotelu ministeryalnym zajął Schmerling, który 26 lutego 1861 wydał patent lutowy, stanowiący podstawę sejmów dzisiejszych. Z patentem lutowym sejmy krajów koronnych monarchii habsburskiej otrzymały statuty krajowe, ordynacyę krajową i obowiązujące do dziś autonomiczne ustawy zasadnicze.

15 kwietnia 1861 r. w sali redutowej starego teatru hr. Skarbka odbyło się uroczyste otwarcie Sejmu galicyjskiego. Przybyłych 129 posłów powitał krótką przemową wiceprezydent namiestnictwa Karol Mosch i przedstawił Sejmowi pierwszego marszałka krajowego hr. Leona Sapiehę i jego zastępcę biskupa Litwinowicza. Leon Sapieha przemówił krótko, ale wyborną polszczyzną, co wskazywało, że mówca wychowany był nie w szkole niemieckiej, ale w atmosferze polskiej Królestwa Polskiego.

„Otwarciem obrad naszego Koła wyrzeczonym został fakt wielkiej wagi, bo oto po raz pierwszy kraj nasz wita zgromadzenie, w którem wszystkie wyznania i klasy społeczeństwa na żywotnej zasadzie równości praw mają obradować nad sprawami wspólnej ojczyzny.

„Poważna to dla nas i dla kraju chwila, który w niej widzi zaranie dalszego swego postępu pod kierunkiem naszego działania.

„My stoimy w pierwszym szeregu tych pracowników, którzy zasady konstytucyjne powinni wprowadzać w formy ustalone, przerobić ideę w prawdę fundamentalną, na której stać mają losy naszego publicznego i domowego życia ...pierwsze warunki naszego postępu złożone są w ręce nasze, ich rozwój zależy od nas samych, od naszej pracy i wytrwałości.

„Nie wypuszczajmy z rąk tej siły przez własną nieudolność lub zapoznanie, a doniosłość jej wzrastać będzie w miarę wykształcenia i uobyczajnienia publicznego. Na tych pierwiastkach przyszłość stoi, ona po skutku sądzić nas będzie...“

* * *

Pół wieku minęło. W kraju dzięki pracy Sejmu zmieniło się wiele. Szkolnictwo wzrosło ogromnie, rzesza nauczycielska zwiększyła się wielce, wybudowano kilka tysięcy kilometrów dróg

kolei, zabudowano rzeki, uregulowano potoki, osuszano bagna, zmeliorowano pola i łąki.

Pozostał jeno ten sam statut krajowy, ta sama ordynacya wyborcza, która wedle pomysłu Schmerlinga dzieliła kraj na klasy i pozbawiała tysięcy obywateli praw obywatelskich.

Przed dwoma laty zrobiono wyłom: rozszerzono autonomię w zakresie praw gospodarczych i rolniczych. Dzisiaj kraj czeka rozszerzenia praw obywatelskich, oparcia zaufania Sejmu o całe społeczeństwo, nie o pewne sfery uprzywilejowane. Reforma wyborcza w duchu nowoczesnych zasad demokratycznych będzie najlepszym pomnikiem pięćdziesięciolecia naszego Sejmu. —

Zło i jego rozsadnicy.

Przenikający całe społeczeństwo ból wskutek haniebnych wypadków na Jasnej Górze tak mocno wstrząsnął umysłami wszystkich w naszym narodzie, jak żadna rzecz od ostatniej walki powstańczej. Wiadomości z Jasnej Góry znalazły rozgłośne echo zarówno w obozie katolickim, jak w obozie niekatolickim. Zaszły fakty, mogące silnie oddziałać na nasze życie i publiczne i prywatne.

Przedewszystkiem społeczeństwo spostrzegło konieczność reformy naszej obyczajowości. Nasz Tygodnik Narodowy, pisząc o swoich zadaniach, podkreślał zawsze deprawacyę umysłów, karłowacenie dusz i zanik ideałów podniebnych; zalewająca pod rozmaitemi formami rozpusta naszą umysłowość, nieustannie podrywa zasadnicze podstawy etyki. Do walki z tym bezwładem duchowym i anarchią umysłową nasz Tygodnik nawoływał nieustannie i w tem widział jedno z najważniejszych swych zadań.

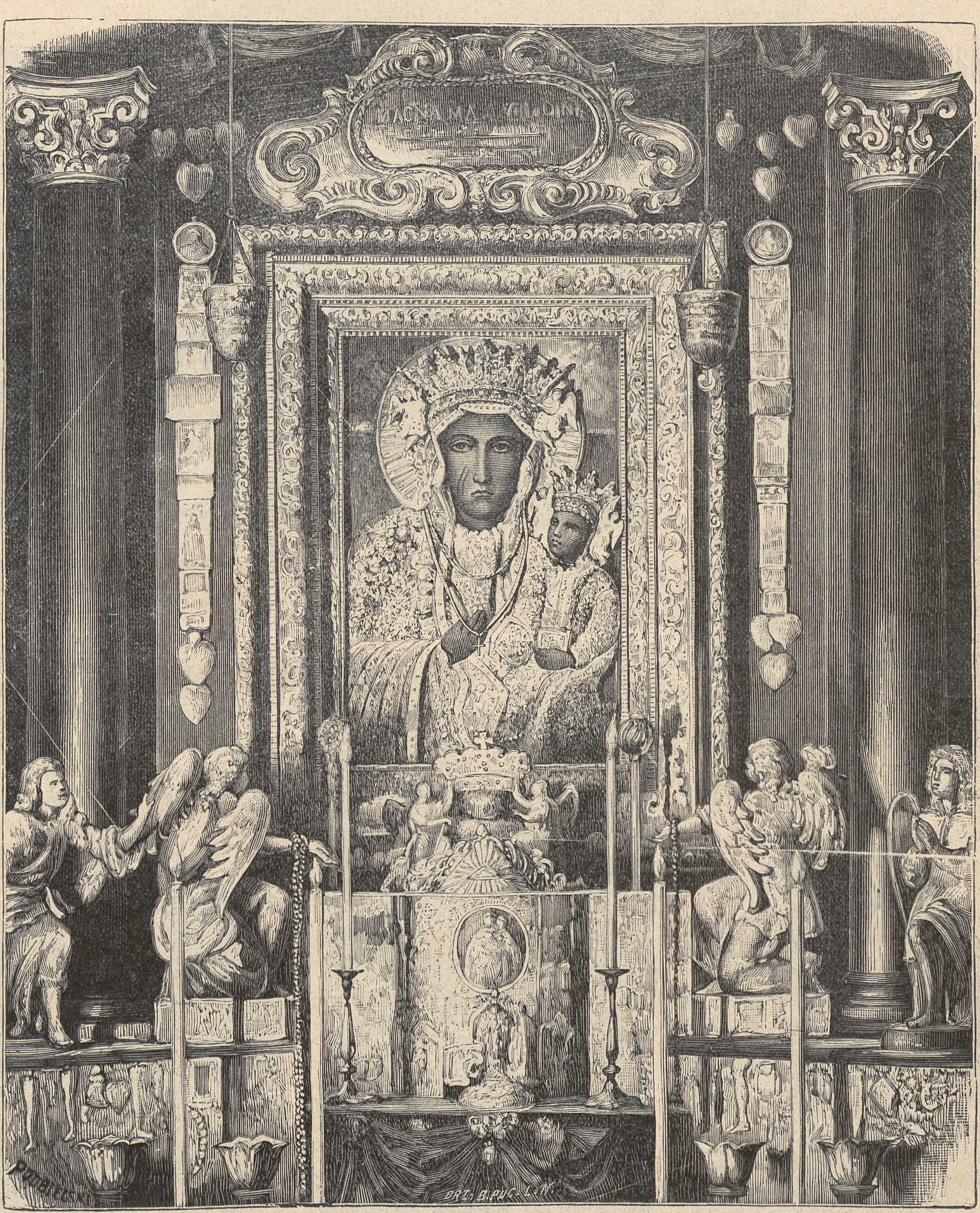
Dziś na tem stanowisku staje cała niemal prasa polska. Źle z nami. Gdyby nie wiedzieć jakim wpływom Jasna Góra musiała ulegać, to nie doszłoby do faktów tak przygnębiających, gdyby na straży czuwała silna, twarda, nie znająca kompromisów z zasadami i życiem opinia publiczna. Niema jej jednak: i brak jej pozwolił na wytworzenie się anarchicznego środowiska.

Zresztą obecnie nie tylko w Królestwie, ale w całej niemal Polsce opinia publiczna na punkcie zasad postępowania etycznego jest zdezoryentowana. Wskutek systematycznej propagandy obozu socyalistyczno-postępowego niejedno kryteryum etyczne zostało zachwiane lub zburzone. Pisma tego obozu systematycznie mącą zasadnicze pojęcia etyczne, a zwłaszcza pisma przeznaczone dla mas szerokich nieraz zbrodnię apoteozują a zbrodniarzy uważają za... bohaterów.

Ta demoralizacya dusz, dokonywana przez pisma popularne, może nawet nieświadomie, w pogoni za niezwykłemi wydarzeniami lub jaskrawością ilustracyi pewnych zdarzeń — jest rzeczą wagi niezwykłej, w której opinia publiczna wypowiedzieć się musi stanowczo. Dożyliśmy czasów, kiedy się ogłasza w pismach rozmowy z katem, bawiącym we Lwowie, ze złodziejami w szynku, z bandytami w więzieniu, wobec których uchyla się kapelusza dla okazania bandycie szacunku, kiedy porównywując Damazego Macocha ze znanym włamywaczem Wasińskim, chwali się złodzieja i przedstawia jako typ silniejszy społecznie.

Objawy zastraszające a niemniej groźne, co demoralizacya na Jasnej Górze. Przez złoczyn tamten Narodowi pokalano świętość, która świętością pozostanie nadal; przez te złoczyny podkopuje się wszelkie zasady moralności u szerokich mas i zdaje się je niejako na łup najniższych instynktów. Ostatnie wypadki jasnogórskie dają znakomite pole do inwektyw, podejrzeń i fantastycznych opowiadań. Skorzystali już z tego ludzie złej woli: socyaliści galicyjscy wydali broszurę będącą szczytem nieuczciwości i nieprawdziwości, indywidua z pod ciemnej gwiazdy w niektórych miastach Królestwa (Włocławek, Łódź, Piotrków) pod kościołami sprzedają rzeczy, plugawiące religię naszą, nasz Kościół, nasze uczucia.

Tu musi nastąpić przebudzenie opinji publicznej. I nie tylko przebudzenie, ale zszeregowanie do walki ze złem, jakie się krzewi pośród nas, i z rozsadnikami tego zła. Dziś chwila rozbujałych uczuć sposobna do podjęcia takiej akcyi: później, gdy zło się rozwielmożni, walka stanie się trudniejsza.



MATKA BOSKA CZĘSTOCHOWSKA.

Zbrodnia na Jasnej Górze.

Mane - Thekel - Phares.

Z kół *duchowieństwa* otrzymał „Kuryer Poznański“ poniższe uwagi:

Zbiorowe serce narodu skowyczy z bólu i chciałoby wyć o pomstę do niebios za to, co się na Jasnej Górze stało! Tym chyba się kielich goryczy wyczerpał! Przed czem się cofnął Szwed, co w poszanowaniu miał mongolski Moskal, na to się porwał wyuzdany, białą szatą okryty mnich-kapłan, dziecko ludu polskiego, którego krzepa dla nas jest nadzieją. Brzydkość spustoszenia zbeszcześciła Arkę narodu naszego — i prokurator rosyjski zażąda pomsty za zbrodnię, a sotnie kozackie pełnią straż! Na piekielną orgię zbrodni — piekło upokorzenia i poniżenia. Zdradziecka sława w Polsce już na zawsze dla nikogo niedostępna! Mieliśmy brato- ojco- matkobójstwa, kazirodztwa, rozpętaną burzę namiętności, wyuzdania i zbrodnie; koronę wszystkiemu włożył bratobójca, kazirodnik, świętokradzca w białym habicie!



Klasztor Jasnogórski w d. 7 października. Przed głównem wejściem. Sołdaci bronią wstępu rozgoryczonym tłumom, które domagają się wypędzenia Paulinów i grożą odebraniem cudownego obrazu.

Tam, gdzie się kajał i modlił, gdzie walczył z małodusznością swoich, a z obcych najazdem Kordecki, tam czereda wyuzdanych mnichów garściami sięgała po złoto, aby zwyrodniałe paść instynkty! Oni, których życie miało wypełniać posłuszeństwo, czystość, dobrowolne ubóstwo!



Damazy Macoch.



Izyd. Starczewski i Dam Macoch. Przyjaciele.



Bazyli Olesiński.



Damazy Macoch, Helena z Krzyżanowskich Macochowa i pierwszy jej mąż rzekomy.

Kiedy westalki namiętnie poszły za krzykiem życia i rżeniem krwi, wtedy spodlony Rzym zaczynał tonąć w przeszłości! Szukamy winnych — szukajmy odważnie, choćby palił wstyd i płakało serce!

Co nam powie, co powie całej Polsce ten, który odziany w infułę zgromadził cały naród w murach Jasnej Góry: czcigodnych biskupów, starą szlachtę, dzielnych mieszczan i wierny lud? Co jemu mówi dzisiaj sumienie? Umiał wielkie święta organizować, a nie umiał w karbach kilkunastu utrzymać mnichów!

Gdzie są teraz pokątni krytycy stosunków jasnogórskich, czy nie trzeba im było dawno jawnie wystąpić ze słowem prawdy!

Co powiedzą Polsce rycerze „wolnej myśli“, zohydzający od lat wszystko, co święte, uważający wszystko za komedyę i blagę! Otóż mają adeptów swoich nie w teoryi, tylko w czynie, — swoich wiernych, którzy Jasną Górę obrali sobie za scenę dla swej komedyi. Wallenrod w habicie osięga sakrę kapłańską i z uśmiechem augura pełni służbę — zupełnie tak, jak go w „wolnej myśli“ uczono. Jeżeli Francya, stojąca u szczytu kultury cofa się etycznie, pozbawiona dogmatu, czegóż się spodziewać od narodu na stopniu kultury w Królestwie! Tej kultury owoc: ojciec Damazy!

Za to chwilę tryumfu może święcić system rosyjski! biały car, oswobodziciel i opiekun słowian, demoralizujący od wieku wszystkimi sposobami nasz naród. Gdyby to był król małego



Stanisław Załóg
(fotogr. przez O. Izydora) wspólnik i służący Macocha uwięziony w Hamburgu.



Helena Krzyżanowska.



O. Bonawentura Gawełczyk,
któremu Macoch i przyjaciele skradli 5000 rubli. Prokuratorya zarządziła sekcye zwłok O. Bonawentury, ponieważ są poszlaki, że został otrutym.



Klasztor Jasnogórski w dniu 7 października r. b. Pod wałami.

państwa, to chyba Europa by przystąpiła do uzdrowienia stosunków, ale w tym razie polityka nie pozwala; niech Europa jeszcze czeka i rozmyśla nad tym, jaka zgnilizna musi być nad Wołgą, kiedy już nad Wisłą takie wrzody pękają, niech czeka Europa, aż cuchnąca ropa 150 milionowego carstwa dognije do reszty i wyleje się na nią od końca do końca.

Przypomnijmy raz jeszcze światu:
— wywożonych i trutych potajemnie uczciwych i czynnych biskupów (Felińskiego, Hryniewieckiego, Łubieńskiego, Simona i innych), a promowanych i protegowanych szubrawców;
— krępowanych i więzionych śmiesznymi przepisami pasportowymi księży parafialnych;
— demoralizowane i rusyfikowane seminarya;
— unicestwiany ożywczy wpływ Rzymu.

Oto wiązanka czynów dobroci ojca Słowiańszczyzny.

Z tego bagna musiały wypełznąć obrzydliwe gady i bazyliszki.

Olbrzymia musi być nasza siła odporna, kiedy przetrzymała rozkład celowy józefinizmu w Austryi, wysiłki mongolskie i przebiegi w blichtrze kultury arsenału Fryderyków Wielkich, praktykowane do dzisiaj na nas. Niespożytą chyba ona jest — i w tym nasza nadzieja.

Żydowsko-liberalna prasa wyje z rozkoszy i tryumfu. Zawczesny tryumf! Gorzkie lekarstwo dopuszczone przez Opatrzność wyjdzie nam na zdrowie moralne. Lepiej jeszcze zrozumiemy, do czego wiedzie ingerencya rządu do spraw kościelnych, forytowanie księży-rządowców, rozumiemy



Przed bramą Lubomirskich na Jasnej Górze podczas rewizyi.



Przerwana modlitwa.



O. Justyn Weloński,
obecny przeor.



Były przeor **Euzebiusz Rejman.**



Ks. biskup Stan. Ździtowiecki.

i stworzymy potężną opinię, czuwającą nad zdrowiem duszy narodu.

Powiedzmy sobie śmiało kilka prawd:

Nie tuszujmy złego, bo wrzody spędzone do wnętrza gorsze są od tych, które wybiły się na jaw!

Tyczy się to tych, którzy są powołanymi do tego przez władzę duchowną czynnikami, ale i inteligencyi wiejskiej i miejskiej: pokątne plotki, sejmikowania, gorszenia się szczere i faryzejskie złego nie naprawią. Biskupi pragną informacyi, ale rzeczowych, podanych przez ludzi poważnych. To nie jest denuncyacyą podanie wypadku zakaźnej choroby.

Potrzeba nam biskupów serca i czynu. Rządy zaborcze mogą być spokojne, my nie pragniemy biskupów, świeckich polityków — myśmy już dorośli do polityki — *ale żądamy biskupów o żelaznym, nieugiętym duchu* rzymskim, którymby nie imponował ani knut rosyjski, ani pruska pikelhauba, ani hofrat wiedeński. „Polityka" psuje charakter, a jeżeli z biskupów przechodzi na proboszczów i wikaryuszów staje się zabójczą dla sprawy Kościoła. Nam potrzebne duchowieństwo wyższe i niższe, nie cofające się w danym razie przed męczeństwem.

Najlepszą polityką Kościoła była zawsze nieugiętość, zdolna do męczeństwa. Niech sobie episkopat polski uświadomi, że w tym kierunku znajdzie zawsze cały naród bez wyjątku po swej stronie — niech sobie uświadomi i będzie nieugiętym! Jeżeli episkopat oprze się nasyłaniu księży-rządowców na kanonikaty, profesury i inne ważne stanowiska kościelne, to nie będzie się trudnił polityką — jak mu się z wrogiej strony zarzuca — tylko spełni swój obowiązek w duchu Kościoła.

Złóżmy w tym kierunku wszyscy swój wpływ i swoją działalność. Kogo w społeczeństwie świeckiem nie stać już na pobudki z wiary płynące, niech to czyni z pobudek narodowych. Brońmy się, żeby nami nie zawładnęło obrzydzenie dla samych siebie.



OO. Paulini na Jasnej Górze.



Dar dla poety chłopskiego.

„*Niech żywi nie tracą nadziei i przed Narodem niosą oświaty kaganiec*"... Za tem hasłem poszła nie tylko myśl, nie tylko pragnienie — lecz praca wytrwała i płodna całych pokoleń, by śpiących rycerzy zbudzić i uczynić z nich świadome celu hufce prawdziwych Polaków. I ziarno rzucone wzeszło, bo padło nie na opokę, lecz na szlachetne serce i zdrowy rozum naszego ludu — a dzisiaj widać już plon bogaty: poczucie obywatelskie najszerszych warstw, które stają się w oczach naszych tem, czem dawno być powinny, olbrzymim i niezłomnym fundamentem narodowej przyszłości.

Że lud polski ocknął się z wiekowego letargu, że wchodzi na drogę wskazaną przez Kościuszkę i przez wieszczów naszych — tego dowodem jest nasze życie publiczne, w którem siermiężne tłumy pospołu z innymi stanami dzielnie podtrzymują sztandar narodowy. I nigdzie, w żadnym z trzech zaborów, podszepty, wzywające do waśni społecznej nie znajdują oddźwięku pod strzechą włościańską. Przeciwnie, właśnie z pod tej strzechy podnoszą się głosy, na które zadrgnąć musi radością i nadzieją każde serce polskie, głosy chłopskich poetów, którzy w prostych i gorących pieśniach dają wyraz nie tylko własnym swoim uczuciom, ale widno uczuciom całego włościaństwa.

Hej Wisło! Jak nic w biegu twej wody nie wstrzyma!
Nie wstrzyma też nic ludu polskiego — olbrzyma!
A jako ty starego trzymać się chcesz łoża,
Tak i my Polski — . . . .*)

*) Przytoczone tu wyjątki wierszy są pióra *Ferdynanda Kurasia.*

Czyliż ręka, która te słowa pisała, nie jest godną uścisku dłoni Naczelnika? A jakie w tej głębokiej duszy jasne zrozumienie, że tylko „jednością silni" możemy się dobić odrodzenia:

Hej! odżyje Polska młoda,
Gdy zakwitnie bratnia zgoda
Między nami
Polakami
W całym kraju het!...

Skądże to błogosławione ocknienie się ducha i ta pełnia świadomości narodowej? Skądże „cud cudów" marzony w Przedświcie za dni naszych wciela się żywcem w piosnkę nieuczoną wiejskiego śpiewaka?

Bo coraz częściej zagląda w chaty
Anioł, co nosi miano oświaty
I wznosi ludzi w słoneczny świat,
A objaśniając z górnej wyżyny
Straszną niewolę polskiej krainy
Wskazuje w przyszłość...

Któż jest ów śpiewak wiejski, co takie uczucia, takie myśli dobywa z siebie i pomiędzy ludem głosi?

Ferdynand Kuraś, prosty samouk, twórca kilku zbiorków*) równie szczerych i rzewnych piosnek, zrodził się w zagrodzie chłopskiej, nad Wisłą w Tarnobrzegu, tam gdzie teraz twarzą ku Sandomierzowi zwrócony stoi „pomnik Bartosza, z wdowiego ludu wzniesiony grosza." Tam, do dziś dnia — ubogi, bezrolny poeta ludowy pracą wyrobniczą musi krwawo zarabiać na powszedni chleb dla siebie i rodziny „jak tułacz, wiodąc życie wśród cierpień niedoli, bez piędzi użyźnionej potem dziadów roli..." Walka o byt pochłania najlepsze jego siły, gnębi w nim dar pieśni, on zaś, potomek rolników zrodzony do pługa, schnie z tęsknoty za własnym zagonem, o którym nawet i marzyć nie może.

A ziemia, ziemia — taka urodzajna,
Taka pszeniczna — taka chlebodajna,
Że bez trudności jeden taki mały
Powiat, wyżywić zdołałby kraj cały!

Na widok, jak w twardym znoju targa się i marnuje talent od Boga samego dany mu na pożytek społeczeństwa — powstała w Tarnobrzegu myśl, by ze składek, zbieranych w całym kraju, zakupić dla poety kilkumorgową zagrodę włościań-

*) „Z pod chłopskiej strzechy". Zbiorek poezyi chłopa z nad Wisły Ferdynanda Kurasia. Kraków. Nakł. Księg. Ludowej K. Wojnara, 1905. „Wiązanka z chłopskiej niwy". Poezye chłopa z nad Wisły Ferdynanda Kurasia. Lwów. Nakł. Macierzy Polskiej. 1909. „Tatarzy w Sandomierzu". Dwie legendy wierszem opowiedziane. Z przedmową Zygmunta Kolasińskiego. Tarnobrzeg. Nakł. Komitetu obyw. 1910.

ską. W tym celu zawiązał się w Tarnobrzegu pod protektoratem Stanisława hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, Komitet, który prosi wszystkich ludzi dobrej woli o przyczynienie się do urzeczywistnienia myśli tej, zrodzonej wśród szerokich kół włościaństwa powiatu tarnobrzeskiego. Niechajże poeta, który głosi zgodę i miłość wszystkich stanów — od wszystkich stanów otrzyma zaszczytną nagrodę; niechaj spłacheć własnej ziemi orze ten śpiewak ludowy, który ukochał całą ziemię polską „od morza do morza".

Przewodniczącym Komitetu jest p. Eugeniusz Swoboda, były starosta w Tarnobrzegu, a sekretarzem p. Zygmunt Kolasiński, nauczyciel. Wszelkie składki uprasza się wysyłać na ręce skarbnika: p. *Ludwik Kuryłło*, kasyer dóbr dzikowskich *(Dzików p. Tarnobrzeg, Galicya)*. Osoby chętne, zgłaszające się po listy subskrypcyjne, zostaną mianowane przez Komitet delegatami, poczem otrzymają druki w liście poleconym. W Sekretaryacie Komitetu nabywać można po cenie księgarskiej (50 h. za egzemplarz) trzy tomiki dotychczas wydanych poezyi F. Kurasia. Adres do zgłoszeń i zamówień Zygmunt Kolasiński, Tarnobrzeg ul. Kościuszki.

O miłości Ojczyzny.

Chcąc zrozumieć, czem uczucie ono jest dla nas Polaków, trzeba nam najpierw uprzytomnić sobie co to jest Ojczyzna? Ojczyzna jest to najpierw ta ziemia, na której mieszkamy, na której nasi ojcowie i praojcowie mieszkali, z całą rozmaitością okolic, rozlicznych płodów, które my tylko nazwać umiemy, z całym osobnym typem, charakterem kraju tego; powtóre jest to jeden lud, jeden ród, jedno plemie, z którego sami cząstką jesteśmy; na koniec jest to państwo, które posiadało wolność religijną i polityczną.

Polska słynie z tego pomiędzy narodami świata, że ją synowie jej kochali i kochają nadewszystko. Miłość Ojczyzny jest Polakowi bóstwem na ziemi, ona całą duszę jego przenika; ona jest dla niego ideałem, który ukochał całą duszą i sercem, dla niej tylko żyje i o niej myśli. A pierwszą podstawą miłości Ojczyzny, to miłość ziemi ojczystej. Nie idzie o to, aby ta ziemia, którą jako Ojczyznę ukochaliśmy, obfitowała w dostatki i wdzięki przyrody. Gliniana chatka, kawałek czarnego chleba, zroszonego łzami i potem naszym pozyskane, droższe i milsze są w ojczyźnie, niźli wszelkie wygody rajskie pośród ludów obcych. Objaw ten dowodzi, że Polak bez Ojczyzny nawet nieba nie widzi, że woli znosić troski i biedę, byle między swymi, byle w Ojczyźnie.

Miłość kraju naszego to łącznik święty w narodzie, ale nie jedyny. Wiąże nas i język wspólny, literatura, wspólne przekonania narodowe, ideały i cel. Gdyby nie to, to ziemia nie potrafiłaby tyle milionów zjednoczyć. Nad miłość kraju rodzinnego wyższym jest duchowym łącznikiem miłość języka, miłość ta prowadzi do miłości ludzi, ten język posiadających t. j. narodu. Kochamy nietylko ziemię i język, ale i naród, bo jesteśmy cząstką tej ziemi i języka, kością z kości, krwią z krwi ojców naszych. Kto miłuje Ojczyznę, miłować powinien i naród swój i to bez różnicy stanu i urodzenia bez różnicy przekonań społecznych, politycznych i religijnych, jak każdy ojciec kocha wszystkie swoje dzieci, tak prawy syn ojczyzny kocha cały naród. Kto kocha naród swój ten stanów nie widzi i ich nie uznaje, każdy jest mu bratem, przyjacielem, byle szczerze myślał o Ojczyźnie, kochał ją i pracował dla niej. Gdy gwiazda jedności przyświecać nam będzie, gdy wszystkie czyny nasze wspólnemi siłami dokonywane będą, tedy i ucisk mniej nas będzie przygniatał i bolał.

Miłość Ojczyzny i Narodu powinny być połączone z miłością idei wspólnych całemu narodowi, z miłością uczuć, pragnień narodowych, z celem, do którego naród dąży, z wszystkiemi zagadnieniami i dążeniami duchowemi narodu, wszelkiemi jego czynami, myślami i wszystkiem, co tylko w narodzie rdzennie polskiego a szlachetnego i dobrego się znajduje. Gdy doprowadzimy miłość Ojczyzny do takiego ideału, wtedy nic nas nie zgniecie ani złamie, bo gdy prawdziwie ujrzymy Ojczyznę w sobie, wtenczas odczujemy moc w sobie ogromną do pracy wielkiej i do poświęceń.

Skąpstwo i rozrzutność.

Co gorszem jest, skąpstwo czy rozrzutność? Czego się więcej obawiać należy? Zdaje mi się, że obie te wady są sobie równe, w pochodzeniu, w rozwoju, w skutkach i że równy mają koniec. Obie z dobrego pochodzą źródła: skąpstwo z oszczędności a rozrzutność z hojności. Ale właściwej przyjemności życia nie zazna ten, kto drugi posiada przymiot. Kłopoty i troski męczą rozrzutnika na myśl, że pieniądze jego raz się

przecież skończą, albo że już się skończyły, i że wnet bieda do drzwi jego zapuka, i kłopoty i troski dręczą skąpca na myśl, że jeszcze nie dosyć nagromadził skarbów i że ktoś mu je zabrać może!

Skąpiec i rozrzutnik umierają zwykle samotni, opuszczeni od przyjaciół i znajomych, w nędznem otoczeniu. Skąpca ludzie nie lubią, nikt się o niego nie troszczy i z pomocą mu nie spieszy, a on sam, lękając się najmniejszego wydatku nie życzy sobie niczego i w ostatniej nawet godzinie życia myśli tylko o tem, ile zaoszczędził, nie wzywając lekarza i żadnej sobie nie sprawiając ulgi. Rozrzutnik również przyjaciół nie ma, wszyscy uciekają od niego, gdy pieniądze się wyczerpią i gdy już niczego się od niego spodziewać nie mogą. Znajomi i przyjaciele zostawiają go samego w nędzy i na wiadomość o jego śmierci obojętnie wzruszają ramionami. Nikt go nie żałuje, nikt nie pamięta o tem, że z jego łaski nieraz się bawił i używał przyjemności świata — przeciwnie, zarzucają mu teraz rozrzutność i mówią; „dobrze mu tak!“

Skąpstwo i rozrzutność szkodliwemi są zdrowiu. Skąpiec je za mało i osłabia tem cały organizm — rozrzutnik je i pije za wiele i musi to prędzej, czy później ciężko odpokutować.

Skąpstwo i rozrzutność brzydkiemi są wadami. Skąpiec ma nieprzyjaciół, wzbudza zazdrość i wstręt, przyjaciele zaś rozrzutnika podejrzanego zwykle bywają charakteru. Nie są to ludzie uczciwi i szlachetni — pochlebcy i obłudnicy nie są niczem innem, jak ukrytymi jego wrogami.

Każdy niemal człowiek ma pewną skłonność do jednej lub drugiej wady, dla tego jednak nie potrzebuje być ani skąpcem, ani rozrzutnikiem. Nadmierną hojność i przesadzoną oszczędność powinni rodzice zwalczać zawczasu u dzieci, aby ani jedno ani drugie nie zamieniło się w namiętność. Oszczędnym powinien być każdy, nawet człowiek majętny, skąpym nie ma być nikt, nawet biedny nie ma mieć tej wady. Oszczędność jest cnotą, lecz zastosować ją należy do zbytku, a nie do rzeczy koniecznych i potrzebnych.

Hojność nie mniejszą jest cnotą niż oszczędność — jej przecież zawdzięczami wszelkie dzieła i czyny miłosierdzia. Człowiek powinien być hojnym w sposób szlachetny, lecz oszczędnym w zbytkach. W jednem i drugiem zachować należy miarę, aby żadna z tych skłonności nie stała się złem przyzwyczajeniem. Rozwaga i pewna surowość względem samego siebie ustrzeże człowieka od nieszczęścia, w które go każda namiętność prędzej czy później popchnie.

Uprzejmość w słowie.

Bardzo ładnie wyraził się raz Pascal o uprzejmości w słowach: „Uprzejme słowa tak łatwo i przyjemnie wypowiadać! One nigdy nie obrażają i nie ranią, i nigdy jeszcze nic złego nie zdziałały. Nie kosztują żadnego człowieka pieniędzy, a mogą tak wiele dobrego przyczynić! Słodkie słowa czynią i duszę naszą czułą; przeciwnie zaś, gniewliwe, dolewają tylko oliwy do ognia. Uprzejmemi słowy zdobywamy sobie przyjaźń otaczających nas ludzi; zimnemi, gwałtownemi, mrozimy najlepsze uczucia, odstręczamy serca. Tak, jak piękny obraz wpada w oczy, tak uprzejme słowa dostają się do duszy naszej, wywołują w niej niezatarte uczucie wdzięczności i przyjaźni. One łagodzą, uspokajają niejednokrotnie burze wewnętrzne, pocieszają, i zdolne są nawet wygonić brzydkie, zawistne uczucia z serca i myśli naszych“.

Weźmy sobie wyrażenie tego przyjaciela ludzkości do serca i ćwiczmy się w uprzejmych słowach o ile możności; przyjaznymi i wyrozumiałymi bądźmy nawet, kiedy ganimy, nawet wówczas, kiedy nam to trudność sprawia.

Zegary starożytne.

Człowiek od najdawniejszych czasów znał wartość czasu, a chcąc ją określić tworzył przyrządy wedle których mógł dokonywać pomiaru chwil ubiegających. Gdziekolwiek znajdujemy ślady cywilizacyi, spotykamy też równocześnie i instrumenty do mierzenia czasu. Pierwszym zegarem był niewątpliwie nieboskłon, a słońce na nim pierwszą wskazówką. Ale zegar ten zmienny był bardzo, a często i niewidoczny. Z nastaniem zmroku o zmierzeniu czasu nawet mowy być nie mogło.

Jakie koleje przeszła nauka mierzenia czasu nie wiadomo; u najdawniejszych już narodów spotykami zegary słoneczne, czyli kompasy, piaskowe (klepsydry) i wodne. Niewiadomo też kiedy i kto wynalazł zegar z zastosowaniem doń kółek zębatych.

Opowiadają; że Arabowie przybyli z poselstwem do Karola Wielkiego, przywieźli z Europy pierwszy zegar z kółkami. Jest to legenda historycznie nieudowodniona. Niema też śladu, gdzie zbudowano pierwszy zegar wieżowy. W opisie klasztorów z wieku XII natrafiamy już na istnie-

nie zegarów, wybijających godziny. W końcu XIII wieku zegary kółkowe znane już były w całych nieomal Włoszech. Wspomina o tem wyraźnie Dante w jednym ze swych utworów.

W r. 1882 jakiś mechanik angielski otrzymał przywilej zbudowania zegara na wierzy pałacu Westminsterskiego w Londynie. Zegar ten do dnia dzisiejszego istnieje — ale nazwisko jego twórcy jest nieznane.

Pierwszym znanym z nazwiska zegarmistrzem był Jakób Dondi, Włoch, któremu przypisują zbudowanie kilkunastu zegarów wieżowych w Padwie, Bolonii i innych miastach. Żył on w połowie XIV wieku.

Dopiero jednak w wieku XV zegary zaczęły się rozpowszechniać. Od tego też czasu astronomia zwróciła się do ich pomocy przy swoich obliczeniach; dzięki też dokładnym zegarom doszła w swym rodzaju do tak wysokiego poziomu, na jakim się obecnie znajduje. Ważnym krokiem na drodze postępu w tym kierunku było zastósowanie do zegarów wahadła, co się stało w r. 1641. Od tego też dopiero czasu może być mowa o dokładnych zegarach. Wynalazca wahadła zegarowego był znakomity astronom właski Galilei.

Pierwszy zegarek kieszonkowy wykonał Piotr Hele, ślusarz z Norymbergii, urodzony w r. 1480, a zmarły w 1542. Pierwszy ten zegarek był tak wielki, jak jajko kurze; stąd też przez długi czas zegarki kieszonkowe nazywano „jajkami norymberskiemi“.

Nazwę usprawiedliwiał do pewnego stopnia i wygląd zegarka. Czasomierz Helego nakręcał się co 4 godzin, a każdą godzinę wybijał nawet dosyć głośno.

Najdawniejsze zegary są przeważnie wagowe, to znaczy, że wymiar czasu zależał od ciężaru wagi, która wprawiała w ruch kółka zębate. Wahadło Galileusza służyło tylko do pomiaru drobnych cząstek czasu. Dopiero matematyk holenderski Chrystyan Huyghens, słynny dzięki doktrynom praw światła, zastosował wahadło do zegara w ten sposób, iż obrót kółek został uregulowany przez połączenie z wahadłem. Wynalazek ten w użyciu codziennem większe ma znaczenie, aniżeli odkrycie Saturna, dokonane przez tego uczonego.

Najdawniejszy sposób obliczania godzin, dzielący dobę na 24 części, utrzymał się także na tarczach zegarkowych. Jeszcze do końca wieku XVIII a we Włoszech wśród ludu nawet do tego czasu liczy się godziny od 1 do 24. Dawniej liczono je od zachodu słońca, później od południa. Ztąd też na dawnych zegarach spotykamy tarcze z 24 przedziałkami. W wieku XV innych tarcz nie było.

Do dnia dzisiejszego istnieje w mieście Chartres, we Francyi taki zegarek, pochodzący z owych czasów. Pomimo przeróbek, dokonywanych w tym zegarze, tarczę jego pozostawiono nietkniętą. Zegar ten stoi tam 480 lat. Czystość i piękność rysunku na tej tarczy wpada każdemu w oko i budzi podziw ogólny.

Wogóle tarcze dawnych zegarów przyozdabiano obficie rysunkami artystycznemi. Na tarczy znajdowały się po trzy a nawet cztery koła z przedziałkami na oznaczenie godzin, minut, dni i miesięcy. Charakterystyczną tego rodzaju tarczę odnajdujemy na oznaczenie minut. Zegary takie wyrabiano w XV wieku we Włoszech.

Na zegarach XVI wieku rzadko bardzo znajdujemy podziałki na oznaczenie minut. Zegary ówczesne mają zazwyczaj jednę tylko wskazówkę Około głównego koła, podzielonego na 12 przedziałek biegnie mniejsze z czterema przedziałkami, przeznaczone, jak twierdzą współcześni, dla szybszego oryentowania się w czasie.

W XVII wieku spotykamy zegary z tarczą o 6-ciu przedziałkach. Wskazówka na takiej tarczy wykonywała cztery obroty w ciągu doby. Z owych czasów pochodzi też zegar, który ma trzy tarcze: jedną z sześciu, drugą z czterema, trzecią wreszcie z 12 przedziałkami. Tarcza z 4 przedziałkami wskazywała kwadranse; tarcza zaś z 6 była raczej wynikiem fantazyi zegarmistrza, aniżeli rzeczywistej potrzeby. W końcu XVII wieku zaprzestano używać tarcz z 6 przedziałkami i od tego czasu nigdy ich też nie spotykamy.

Dawniejsze zegary zazwyczaj wszystkie zaopatrzone były w figury ruchome, w budziki, kuranty. Zegar ówczesny musiał nietylko wskazywać czas, ale także budzić swego pana, bawić wzrok jego, przygrywać mu co pewien przeciąg czasu określony. Pracowity instrument!...

Jak powstały kawiarnie.

Jak wiadomo Wiedeń znany jest w Europie jako „miasto kawiarń“. Tegoroczna statystyka podaje ich liczbę bez mała na 1,050, a z tych jeszcze wiele ma filie porozrzucane po różnych częściach miasta. Jest więc tego dość i żadna ze stolic europejskich nie może się pochwalić tak pokaźną ich liczbą. Czy ma Wiedeń zawdzięczać tę swoją „specyalność“ szczególniejszym upodo-

baniom swej ludności? Zapewne. Lecz rozwinięcie się tego przemysłu do tak kolosalnych rozmiarów ma we Wiedniu za sobą swój podkład historyczny.

Wiedeń jest pierwszem miastem w chrześciańśtwie, w którem założono kawiarnię. Oto posłuchajmy zajmującej historycznej anegdoty, mało u nas znanej, a podanej w jednym ze świeżych numerów wychodzącego we Wiedniu, redagowanego w języku angielskim pisma The British-American Post.

W r. 1683 podczas oblężenia Wiednia przez Turków, gdy stolica przeżywała najkrytyczniejsze chwile i blisko już była kapitulacyi, stanął przed dowódcą hr. Stahrembergiem młody, mieszkający w Wiedniu Polak, właściciel małego sklepiku na Leopoldstadt, nazwiskiem Kólszycki.

— Czego żądasz? — zapytał hrabia, chodząc nerwowo po pokoju z założonemi w tył rękoma.

— Panie! — odpowiedział młody Polak. — Ofiaruję się przekraść przez szeregi Turków i zanieść wieść o naszem położeniu do armii cesarskiej.

— Turcy cię powieszą — odparł szorstko Stahremberg, nie przestając ani na chwilę chodzić wielkimi krokami. — Było już kilku takich, jak ty, i wypatroszono ich przed samymi murami na szubienicach. Widziałeś?

— Mnie nie powieszą, ekscelencyo!

Stahremberg nareszcie zatrzymał się na miejscu zirytowany.

— A to ciekaw jestem dla czego? — zapytał, oglądając od stóp do głowy oryginalnego junaka.

— Bo ja nie mam najmniejszej ochoty być powieszony — brzmiała odpowiedź.

— Masz taki talizman, czy co?

— Tego nie mogę powiedzieć.

Stahremberg spojrzał uważniej na przybysza i rzekł:

— Jest w tem jakiś sekret, ale nie chcę ci go wydrzeć. Dobrze. Zgadzam się. — Przygotuj się do drogi. Co chcesz w nagrodę?

— Nic! Proszę o honor służenia nadal pod rozkazami jego ekscelencyi.

— Dobrze! Dziś wieczorem otrzymasz pismo do armii cesarskiej. A teraz możesz odejść i niech cię Bóg prowadzi!

Rozmowa ta miała miejsce w połowie sierpnia. Tej samej jeszcze nocy olbrzymia burza z piorunami nawiedziła Wiedeń i okolicę. Korzystając z tego, Kólszycki wykradł się wraz ze służącym swym, Nikotowskim; obydwaj przebrani za Turków, wyszli z murów miasta. Na drugi dzień schwytano ich w obozie tureckim i stawiono przed Agą. Kólszycki przedstawił się jako kupiec z Belgradu, który przybył tu w celu wystarania się o dostawę żywności dla armii. Propozycya ta tak przypadła do gustu tureckiemu oficerowi, że postanowił przedstawić ją swym przełożonym. Nie krępowano swobody domniemanego kupca, ostrzeżono go tylko, ażeby się nie oddalał zbyt od obozu, bo awangardy armii cesarskiej sięgają stóp Leopoldsbergu. Oczywiście, Kólszycki nie zaniedbał skorzystać odpowiednio z tej informacyi i po dwóch dniach powrócił do Wiednia, osiągnąwszy sukces swej misyi. Niedługo potem król Sobieski wraz z księciem Lotaryńskim rozegnali Turków na cztery strony świata. Hrabia Stahremberg nie zapomniał o dzielnym młodzieńcu i chciał go obdarzyć jakimś zaszczytem. Lecz prośba Kólszyckiego brzmiała dość oryginalnie. Oto zażądał pozwolenia na przywłaszczenie sobie worków pełnych ziarn kawy, które pozostawili Turcy w obozie w wielkiej obfitości.

— Ależ weź sobie ile chcesz — odparł Stahremberg — choć nie rozumiem, na co ci się zdać mogą te zielone ziarnka.

— Z tych ziarn — mówił Kólszycki — Turcy sporządzają napój, zwany kawą i nie widzę powodu, ażeby nie smakował on równie dobrze chrześcianom, zwłaszcza, gdy go w odpowiedni sposób przyrządzę.

— Bierz więc te worki, a prócz tego reprezentacya miasta darowuje ci dom na Leopaldstadt, byś tam mógł swobodnie częstować ludzi swoją kawą.

Kólszycki niezwłocznio zabrał się do dzieła. Najpierw sprzedawał kawę, chodząc od domu do domu, a gdy zbyt zasmakowała wiedeńczykom, założył apartament kawiarniany na Bischofgasse (dzisiejsza Domgasse). Lecz niedługo już potem musiał rozszerzyć znacznie interes i przenieść go gdzieindziej. Tak powstała na Schlossergasse kawiarnia pod godłem „Niebieskiej butelki.“ Wygląd jej był zrazu dość prymitywny. Na podłodze płonął jasny ogień, nad którym wrzał miedziany kocioł z wodą. Goście, obsiadłszy ławki, poustawiane pod ścianami, raczyli się kawą, trzymając filiżanki w rękach i stawiając je obok siebie na ławach. Środkiem przechadzał się poważnie właściciel, Kólszycki, paląc turecką fajkę. Twarz jego promieniała zadowoleniem.

Pierwsza ta kawiarnia cieszyła się niezmierną popularnością. Ba!... Nawet sam Stahremberg dalej spowiednik Sobieskiego kapucyn Markus Avian, wreszcie także książę Eugeniusz Sabaudzki, byli stałymi gośćmi „Niebieskiej butelki“.

Naturalne przedłużanie życia.

II.

Osobny rozdział swej książki poświęcił omówieniu odradzającego działania snu. Najlepsza hygiena snu polega na niedopuszczaniu do mózgu wrażeń, gdyż tylko w ten sposób można zapobiedz przypływowi krwi. Wszystko, co budzi uwagę, a więc najmniejsze choćby, ale trochę niezwykłe wrażenie (ruch zegara, rozmowa, światło) może wprawić w takie podniecenie, iż niepodobna zasnąć, podczas gdy jasne oświetlenie może dzięki przyzwyczajeniu nie stanowić żadnej przeszkody w zaśnięciu, gdyż nie będąc spostrzegane, przestaje budzić uwagę i oddziaływać drażniąco na mózg. Młynarz sypia smacznie przy turkotaniu koła młyńskiego, mieszkaniec wielkiego miasta umie zasnąć, mimo, iż na ulicy rozlega się gwar, skrzypienie wozów i dzwonki tramwajów elektrycznych; dzieje się to na mocy przyzwyczajenia. Młynarz zbudziłby się napewno, gdyby nastała cisza, gdyby koło nagle stanęło. Chodzi więc przedewszystkiem o to, aby nie dopuszczać do mózgu wrażeń, budzących uwagę. Wrażeniami takiemi są przeważnie światło i wrzaski — czasem jednak cisza i ciemność. Wielkie znaczenie dla snu ma temperatura w pokoju. Wielu ludzi nie może spać w ciepłym pokoju, albowiem pod wpływem ciepła krew napływa zbyt obficie do mózgu. Ludzie ci sypiają lepiej w zimie, przy niskiej temperaturze pokoju, niż w lecie, gdy trudno mieszkanie należycie ochłodzić. Chcąc zapobiedz, aby powietrze w sypialni nie zepsuło się zbyt rychło i nie nastał zaduch, należy wybrać sobie na sypialnię pokój możliwie najobszerniejszy, a nie — jak to najczęściej bywa — pokój najmniejszy. Najzdrowsze są nieopalane na noc sypialnie, których okna wychodzą na ogród. Przez noc powinna być otwarta przynajmniej jedna okiennica w przyległym pokoju.

Aby mózg mógł odpocząć, trzeba, by i inne organa były nieczynne. Praca żołądka podczas trawienia, stan chorobliwy, bolesny któregokolwiek członka zmuszają mózg wielki do reakcyi w sposób niekorzystny dla snu. Dlatego też powinien wieczerzę od udania się na spoczynek odgraniczać pewien okres czasu, należy wieczorem jeść mało mięsa, najlepiej zaś potrawy mleczne. Najlepiej sypia się wówczas, gdy na wieczerzę je się lekkostrawne potrawy np. owoce, biszkopty; niektórzy jednak, ci zwłaszcza, którzy cierpią na nadmierne wydzielanie się w żołądku kwasu solnego, śpią źle, jeśli idą spać bez wieczerzy. W takim razie szklanka mleka wpływa korzystnie na sen.

Sen jest najsilniejszy w pierwszych godzinach. Szmeru, który zbudziłby nas o godzinie 3 lub 4, nie zauważylibyśmy wcale ogodzinie 1 lub 2. Stanowczo najlepiej jest kłaść się do łóżka niepóźniej jak o godz. 10 30. nigdy zaś po północy. Jeszcze jedna wskazówka: nie należy bezpośrednio przed snem zaprzątać zbyt silnie umysłu. Nie należy utrudniać wielkiemu mózgowi koniecznego odpływu krwi przez intenzywne myślenie, pisanie lub czytanie, zwracanie uwagi i rozmyślanie nad troskami i nieszczęściami. Im później uspokoi się umysł, tem później sen ogarnąć może ciało. Zamiast zażywania środków nasennych, lepiej unikać przyczyn bezsenności, przedewszystkiem nie czytać ani myśleć przed udaniem się na spoczynek.

Ci, którzy powoli przyzwyczajają się do wczesnego wstawania, w lecie o godz. 4, a w zimie o godzinie 5, rychło przekonywują się o zbawiennych skutkach takiego sposobu życia. W rannych godzinach ma się wtedy miłe uczucie rześkości, około południa budzi się wilczy apetyt, a wieczorem, około godziny 8 następuje senność tak wielka, jak u zdrowych dzieci, które bawiły się przez cały dzień. Jak długo należy spać? Kwestyi tej nie można rozstrzygnąć w sposób, dla wszystkich ludzi jednaki. Jeśli sen jest dość głęboki, wtedy trwać może krócej, a będzie wystarczający. W śnie głębokim bowiem proces oczyszczania się krwi odbywa się intenzywniej, niż w śnie lekkim. Wogóle można powiedzieć, iż sen powinien trwać od 6 do 8 godzin, a kobietom zaleca się nawet sen dłuższy; w najliczniejszych wypadkach dorosłemu człowiekowi potrzeba snu trwającego 7—8 godzin. Im dziecko jest młodsze, tem dłużej powinno ono spać (od 16—20 godzin). Ludzie sędziwego wieku cierpią często na uporczywą bezsenność, która jest skutkiem pewnych zmian w naczyniach krwionośnych mózgu — ale nierzadko zdarza się u ludzi starszych także nadmierna, bezustanna senność Potrzeba snu jest u jednej i tej samej jednostki nie zawsze ta sama; zależy ona od okoliczności; raz wystarcza najzupełniej sen pięciogodzinny, podczas gdy kiedyindziej nawet 8 godzinny sen niedostatecznie pokrzepi. Jeśli się przez jedną lub dwie noce niedostatecznie spało, wtedy wskazanem jest odespać wszystko, czego się zaniedbało w poprzednich nocach. Udaje się to zazwyczaj znakomicie i może posłużyć na dowód, że sen spełnia czynność odtruwającą. Prócz hygieny ciała, istnieje także hygiena duszy, która ma dla zdrowia wielkie znaczenie; zbyt silne i częste afekty bowiem szkodzą zdrowiu tak samo, jak wykroczenia przeciwko hygienie ciała.

Hygiena duszy wymaga przedewszystkiem zapominania o zmartwieniu i troskach. Ból z powodu śmierci drogiej osoby jest bezcelowy i choćby trwał 50 lat, nie zdoła ani na jedną chwilę zmarłego przywrócić życiu. Ale jedna godzina głębokiej żałoby zdolna jest uczynić o kilka lat starszym i wryć głębokie brózdy w nasze oblicze. Na szczęście natura sama sobie pomaga i obdarza ludzi o słabszej sile woli łzami. Łzy zmniejszą ucisk w mózgu, o czem skład chemiczny łez zdaje się świadczyć. Pod względem hygieny duszy moglibyśmy się wiele nauczyć od Chińczyków. Gdy Chińczyk jest w żałobie, wtedy wdziewa on szaty lśniące białe a wszystko w domu, nawet trumnę, przykrywają białe pokrowce. My zaś w takich wypadkach posługujemy się beznadziejną czarną barwą i staramy się, aby wszystko wokół miało wygląd ponury. Dokładamy wszelkich starań, aby się jaknajbardziej przygnębić. Przez długie miesiące unikamy zebrań towarzyskich i oddalamy od siebie uporczywie wszystko, co by nas mogło rozweselić. Oczywista więc rzecz, że w ten sposób zwiększamy tylko szkodliwe skutki bolesnego wzruszenia.

Pogodne usposobienie, równowaga umysłu — oto potęgi, zdolne przedłużyć człowiekowi życie. Szczęśliwi są ci, którzy bezinteresownie, nie myśląc o powodzeniu, ani o zaszczytach, poświęcają się nauce. Chyba nie ma na świecie większego zadowolenia, jakie dać mogą studya nad ludźmi i zwierzętami, śledzenie cudownych procesów, jakie się odbywają w przyrodzie. Gdy dręczą nas zmartwienia, gdy dotknął nas jakiś cios, najlepiej wtedy w jasnem świetle słonecznem zapuścić się w lasy i pola, błyszczące kwietnym przepychem, a rzadko kiedy wrócimy do domu niepokrzepieni. Często można zauważyó, że ludzie, którzy całkowicie poświęcają się nauce, znajdują w niej pociechę na wszelkie strapienia.

Dr. Lorand opowiada ze czcią o pewnym wybitnym neurologu, posiadającym niezmiernie rozległą wiedzę fachową, który cały dzień spędza w swem laboratoryum. Uczony ten nawet po pogrzebie swej ukochanej żony, zamknął się w swej pracowni, aby kontynuować przerwane badania. Wszyscy, którzy go znają, chwalą i podziwiają jego niezmienne i pogodne usposobienie. Takie usposobienie jest niezbędnym warunkiem długiego życia, ambicya zaś, pragienie bogactw i zaszczytów i wogóle wszystkie tego rodzaju niespokojne żądze oddziaływają szkodliwie na zdrowie i skracają życie. Iluż to polityków, którzy odznaczają się w debatach parlamentarnych a nawet osięgają tekę ministeryalną, musi powodzenie to opłacić śmiercią przedwczesną! Wskutek licznych rozczarowań, połączonych z pogonią za zaszczytami i odznaczeniami, powstają gwałtowne zmiany w krążeniu krwi, które mogą doprowadzić do zwapnienia naczyń krwionośwych. Już krótka mowa, wypowiedziana z przekonaniem, zwiększa znacznie nacisk krwi, a cóż dopiero długie dyskusye, prowadzone zazwyczaj w parlamentach wśród największego podniecenia. Umiarkowana ambicya dostarcza życiu podniecającej zaprawy, za wiele ambicyi jednak zatruwa zdrowie.

Zwierzęta wymarłe w XIX wieku.

Badacz angielski Lancaster zajął się wyliczeniem zwierząt, które wyginęły zupełnie w ubiegłym stuleciu.

W połowie XIX wieku znikła całkiem olbrzymia hagara z nierozwiniętemi skrzydłami; pozostałe jeszcze, dotąd zachowane jaja, cenią na setki dolarów. Na wybrzeżu amerykańskiem Oceanu Atlantyckiego ptak ten znikł już w r. 1846, na wybrzeżu europejskiem zabito ostatnią parę w r. 1844. W drugiej połowie stulecia wyginęła w Afryce południowej kwagga w kraju przylądkowym w latach 1865 i 1870 o 1873 roku. Dawniej zwierzę to było bardzo pospolite, używano je do przewożenia ciężarów, mięso było poszukiwane przez hotentotów. W muzeum brytańskim znajduje się szkielet i wypchana kwagga. Znikły olbrzymie żółwie i żółwie z cienką skorupą. Pierwsze, bardzo pospolite w XVIII wieku, w XIX znajdowano już tylko na niektórych wyspach. Z ptaków, prócz olbrzymich hagar, zniknęły czarne. W roku 1803 wyprawa francuska znalazła obfitość tych ptaków na wyspie Kanguru, w dwadzieścia lat później już ich nie widywano. Obecnie istnieją tylko dwa szkielety i dwa egzemplarze wypchane w muzeum paryskiem i florenckiem. W połowie stulecia znikł także gatunek ptaków znany pod nazwą „Cormoran Pallas“; ostatnie egzemplarze napotkano w r. 1839 na wyspie Berynga. Wypchane znajdują się w muzeum brytańskiem. Najwięcej zaginęło gatunków ptaków, jak np. gołąb zw. holenderskim (Alectorenas nitidissima), którego pióra miały wszystkie barwy narodowe Holandyi; ślicznozłocisty „Drapanis pactifica“, bardzo niegdyś pospolity na wyspach Hawai, a poszukiwany przez krajowców dla prześlicznych piór żółtych, używanych przez naczelników plemion. W Indyach Zachodnich zaginęło wiele gatunków ptaków, zanim badacze świata zwierzęcego zdążyli je poznać.

Łamigłówki do nagrody.

Logogryf.

A—an—ar—bes—bek — cen — ce — chi — dyusz — dłu — dzi — da — e — e—el—ho—i—in—im—ka—ka — li — le — ler — ło — no — no — na—phra—pat — pu — pien — pa — ras — sa — ta — ty —win—wa — ze — zyk.

Z sylab powyższych utworzyć 13 wyrazów, które oznaczają co następuje:

1. Miasto w Grecyi.
2. Cesarz rzymski.
3. Imię męskie.
4. Syn Józefa.
5. Miasteczko w Poznańskiem.
6. Mieszkaniec Afryki.
7. Stan półn. Ameryki.
8. Król Gotów.
9. Miasto we Włoszech.
10. Prorok.
11. Wyspa na Oceanie Indyjskim.
12. Kronikarz polski.
13. Mężowie pozasłużbowi.

Litery początkowe i końcowe utworzą imiona i nazwiska dwóch znakomitych dziejopisarzy polskich.

Zagadka.

Domek śliczny, malowany,
Szklany domek, szklane ściany,
Pan domku żyje opacznie:
We dnie próżnuje,
W nocy pracuje,
A taki pijak,
Że gdy żyć zacznie,
Zaraz pić woła
I póki żyje,
Pije i pije.
A kiedy napój do dna wysączy,
Słabnie i w mdłościach żywot swój kończy.

Rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 27. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 45.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonych w nr. 41.:

ra—ta, ma—ta, ma—ra,
armata.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Teofila Bieniedzka, Konstanty Cag, Michał Chciuk, Justyn Cholewik, Wł. Dubaj, Konstanty Finik, Emil Gruszecki, Marya Heszowska, Jan Inglot, Otylia Kostańska, Roman Łazarewicz, Gabryel Leńczyk, Z. Maślakiewicz, Helena Mycoń, Wacław Nowosielecki, K. Pacuła, Paweł Pajdo, Bolesław Rozwadowski, Celestyn Schöffer, Władysław Stafiński, J. Steindl, Adam Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Franciszek Szmater, Stanisław Szostak, Władysław Trybała, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Kazimierz i Eleonora Balcerscy, Anna Bembenek w następującym wierszu:

Zwykle ludzie niechętnie płacą swoje *raty*
I stąd przed drzwiami biura długo wycierają *maty*,
Pieniądz — mówią — chimera (a po polsku *mara*)
Jednak wolą złoto, niż srebro talara.
Gorszą ale od mary, gorszą jak ta *rata*,
Jest zionąca ogniem straszliwa *armata*.

M. Bembnista, Marya Bogusławska, Fr Ciałoń, Tomasz Cichowski, Mieczysław Cieszyński, Wiesia Czypicka Halina Czyżewska, Franciszek Dylong, Franciszka Garczyńska, Wincenty Herok, Janina Idźkowska, Janek z pod Góry Przemysława, Marya Jankowska, Stefan Jankowski, Mieczysława Jarmuż, Aleksandra i Włodzimierz Jeziorkowscy, Pelagia Kopańska, Jan Łaszczek, Stanisław Markowiak, Józefa Matuszewska, J. Olejniczak, Iza Pągowska, Ludwik Piasek, Ludwika Polaszyk, Leokadya Przewoźniak, Tadeusz Przybyszewski, Cecylia Sikorska, W. Tyrakowska, Marya Wawrzyniak, Tadeusz Węclewicz, Helena Wierzchowska, Pelagia Zgaińska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Pelagia Dłużewska z Rumelsburg (pod Berlinem,) Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Brandenburgia), Hieronim Jaworowski z Drezna, Wojciech Kużaj z Reklinghausen, Marynia Maćkowiak z Kastrop (Westfalia), Edmund Sokołowski z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium (Bawarya).

Nagrodę otrzymają:

pp. Janina Idźkowska z Poznania, Pelagia Zgaińska z Czempinia, J. Steindl z Przeworska, Celestyn Schöffer z Łańcut (Galicya).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZOWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

NR 43

(Ciąg dalszy).

To lokaj z pokojówką zabawiali się jego kosztem.

I oto wszystkie uczucia opanowało jedno: strach śmieszności, przeświadczenie, że w tej klęsce, która mu złamała serce, stanie się dla ludzi pastwą. Nikt mu nie współczuje, wszyscy wydrwią, a iluż będzie tryumfować!

Rozpaczać, cierpieć, mścić się, wszystko trzeba tymczasem stłumić, ukryć, przedewszystkiem ratować próżność, przedewszystkiem kłamać, ocalić chociażby pozory i formy.

Bardzo blady, ale spokojny wszedł do mieszkania, obszedł je, wydał parę dyspozycyi, zawołał stróża, oddał mu apartament pod opiekę, rozliczył i opłacił służbę, i gdy wychodził ztamtąd, był, jak zwykle, przytomny, tylko czuł, że musi gdzieś się skryć, być sam, by myśli zebrać i coś postanowić.

Machinalnie prawie wsiadł do dorożki, i rzucił adres Radlicza. Tego jednego nie bał się spotkać, i czuł w nim potrzebną dla się w tej chwili trzeźwość i życzliwość. Zastał go już ubranego i przy robocie.

Nie potrzebował mówić, malarz spojrzał i gwizdnął, jak ulicznik.

— Drapnęła! — rzekł.

Odłożył pendzel i paletę, dobył z kąta butelkę, nalał złotawego płynu w szklankę.

— Masz, pij i połóż się. Na nowiu drugiego miesiąca ani będziesz tego pamiętać! Tymczasem masz pełne gardło żółci i octu — pij wino!

Andrzej machinalnie usłuchał, potem usiadł na stołku, objął głowę rękami, wsparł łokcie na kolanach i milczał.

— Kobiety są stworzone na katów! — rzekł wreszcie.

— Racya! kochać naprawdę umieją tylko swoje dzieci, zresztą szał i okrucieństwo.

— I fałsz! W tem są mistrzynie. Boże, jak ja ją ubóstwiałem, jak wierzyłem! Za to mnie zabiła!

Podniósł głowę, oczy jego pałały.

— I uciekła — nikczemna. Znajdę ja ich na końcu świata i porachujemy się.

— Szkoda prochu! — mruknął Radlicz. — Tymczasem nie myśl o zemście, ale o sobie

i ludzkich językach. To będzie uczta, to dopiero używanie!

— Żebym o tem nie myślał, jużbym ich gonił. Zostałem, żeby się bronić od śmieszności. Jutro piątek, zebranie u niej. Co ludziom powiem, jak wytłómaczę!

— Nic nie powiesz. Wyjedź na tydzień gdziebądź za interesami: do Moskwy, czy Odesy, jak najdalej. Ja powiem, żeście oboje wyjechali, każdemu powiem pod sekretem, żeby się prędko rozniosło. Wyjechaliście incognito z powodu twej żony. To im się okropnie podoba, połkną przynętę i będą przeżuwać skandalik. Jak wrócisz, będzież bohaterem.

— Wątpię, bo dotychczas już pół Warszawy wie, z kim ona wyjechała.

— On nie pojechał, bądź pewny.

— Kto, on! — podchwycił Andrzej.

— Ano, ten jakiś Ali Baba. Pani Celina zanadto jest wytrawna, żeby się nie podrożyć. Zresztą mnie się zdaje, że najprozaiczniej pojechała do męża, który znowu podobno ma miliony. Mówiła mi Bella, że pisał do niej już parę razy.

Andrzej milczał. Coraz głębsza otchłań otwierała się przed nim. Od jak dawna był zdradzony, oszukiwany, otoczony intrygą i fałszem. Ból jego serdeczny coraz bardziej ginął pod uczuciem wstydu, upokorzenia i zranionej miłości własnej.

— Daj jeszcze wina! — rzekł, wstając.

Radlicz nalał szklankę i uśmiechnął się. Spełniał przyjacielską usługę, opiekował się Andrzejem, ale w głębi duszy miał własny interes i niepokój.

— Wiesz, kto będzie najbardziej z twej klęski się cieszyć i tryumfować? — Ojciec i żona. Zostali panami położenia, odzyskali ciebie!

Andrzej skoczył, poczerwieniał.

— Oni mi zapłacą za dzień dzisiejszy. Czy myślisz, że toby się stało, żeby nie to przeklęte małżeństwo?

— No, niezawodnie Celina była zazdrosna! — bąknął Radlicz.

— A ojciec obmyślił sprytnie plan, tylko się pomylił co do wyniku. Ta mnie zdradziła i porzuciła, ale oni się grubo mylą, jeśli tryumfują. Jeśli mnie kiedy stracili na zawsze, to dzisiaj!

W klęsce poniesionej człowiek mniej cierpi, gdy znajdzie winowajcę. W tej chwili Andrzej najbardziej czuł upokorzenie.

Zdrada pani Celiny była logiczna. Znudził ją, miłość zgasła, przyszedł przesyt, żądza nowych wrażeń, rzuciła go, przestał dla niej istnieć. Ale tego ścierpieć nie mogła jego próżność, tego nie chciała zrozumieć zarozumiałość i pycha. Więc szukał innej racyi. Z całej wczorajszej rozmowy chciał pamiętać to, co ona udawała, by się zamaskować — zazdrość.

Zazdrość kobiety, nawet zdradę uniewinnia, a jakże pieści próżność. Zdradziła, bo nie chciała podziału, kochała go, ale się zemściła za żonę.

Strata ukochanej, ból, zawód, wstyd, śmieszność, wszystko nań spadło z winy tej głupiej, cnotliwej świętoszki, z którą w jakimś obłędzie głupoty dał się skuć na życie, oplątany przez starego filuta ojca.

Jej zawdzięcza klęskę — tej gęsi, której dał wszystko, stanowisko, dobrobyt, a która jeszcze się ośmiela okazywać mu lekceważenie, jest tak bez ambicyi i kobiecości, że rada jest i przechwala się, że jej mąż nie kocha, czemby się czuła upokorzoną ostatnia!

Radlicz słuchał wybuchu i cieszył się. Nie był on zły, ale cierpiał. Od pierwszego spojrzenia Kazia mu się podobała, zajęła oczy, potem myśli, teraz był rozkochany w niej, stała się dlań treścią życia.

Nie był zły. Dałby dla niej życie, służyłby jej i dogadzał, znosiłby męki dla niej, ale się cieszył w tej chwili, że była zapoznana i pogardzona, obciążona niesłusznemi zarzutami, niekochana, i że jej żywot ciężki stanie się jeszcze cięższym.

Dałby krew wytoczyć dla jej szczęścia, a cieszył się jej nieszczęściem i krzywdą, bo czuł, że tylko w ten sposób zachowa ją wolną i może zdobędzie.

Żeby mu kto powiedział, że w tej chwili jest katem, obraziłby się śmiertelnie. On kochał! Siebie? nie! Ten cudny „Wrzos“ — swoje natchnienie.

Andrzej, wyrzuciwszy żółć w bezwzględnych, ostrych słowach, odzyskał równowagę, uspokoił się.

Tedy Radlicz rzekł:

— Znasz Barańską?

— Nie.

— To cię tam wprowadzę, jak wrócisz. Ciekawa facetka. Gdzież myślisz jechać?

— Mniejsza gdzie, tylko bym nie rad do domu wracać, żeby ojca nie spotkać, a potrzebuję wziąć trochę rzeczy i pugilares z biurka.

— To ci załatwię, a ty się prześpij. Jeśli kogo spotkam, powiem, że ciebie już niema.

VII.

— Prezes napróżno wyglądał syna. O dwunastej wyszedł, a w czasie jego nieobecności Radlicz zabrał rzeczy i pugilares. Gdy prezes wrócił około drugiej, lokaj mu to doniósł. Stary Sanicki był wściekły na syna, stęskniony i znudzony po Kazi, w najgorszym tedy humorze przyjął Wolskich, których i bez tego nie cierpiał.

Stara już w przedpokoju rozpytała lokaja i miała minę ogara na tropie grubego zwierza.

Małe jej, tonące w tłuszczu oczki, świdrowały twarz gospodarza.

— Cóż to, słyszę, młodzi państwo się rozjechali — rzekła słodziutko po przywitaniu i przedstawieniu narzeczonego.

Ale prezes już się pohamował.

— Wyprawiłem Kazię do chorej krewnej. Zapewne dziś, jutro wróci. Andrzej przed chwilą został wezwany do fabryki depeszą. Nowa maszyna jeszcze nie zupełnie normalnie funkcyonuje, a Markham nie technik.

Zwrócił się do narzeczonego z jakiemś banalnem pytaniem, zaczepił żartobliwie pannę i rozmowa poszła gładko.

Narzeczony; typ podolskiego bałaguły, duży, tęgi, z byczym karkiem i głosem, mówił o burakach i cukrze, o kontraktach i jarmarkach; prezes udawał, że go to bardzo interesuje, ale w duchu myślał, że Wolska szpieguje i szpera, i że ją trzeba ułagodzić sutym prezentem, i powtarzał w duchu:

— Srebro, makaty, saski serwis, czy Mankielewicz?*)

Wreszcie, korzystając, że młoda para poszła oglądać jakiś obraz w drugim końcu salonu, spytał konfidencyonalnie:

— Darujcie szczerość, ale radbym ofiarować jaką pamiątkę Jadzi na nowe gospodarstwo. Wiesz najlepiej, coby jej sprawiło przyjemność?

— Ale, cóż znowu! Każdy drobiazg będzie miły. Nie krępuj się niczem. Pan Bukowiecki ma dom świetnie urządzony, nic nie brak! No — nie idzie zatem, żebyśmy też dziecka nie zaopatrzyli we wszystko.

— Więc może srebro stołowe!

— Ach, to za wspaniałe. Cóż znowu!

*) Znany złotnik warszawski.

— Załatwione! o srebro się już nie kłopoccie.

— Dzięki, dzięki stokrotne! Jadzia się tak ucieszy, ona, dziecko — marzyła o kolczykach.

— Marzyła! Będzie je mieć! — uśmiechnął się prezes.

Wolska promieniała.

— Mój drogi, jakżem wdzięczna.

— Dajże pokój, nie ma o czem mówić. No, a jakiż stan finansowy tego pana? Zasiągnęliście informacyi?

— A jakże! Był przecie jego wuj i dowiadywaliśmy się przez znajomych. Bardzo porządna rodzina. Ma własny, rodowy majątek, i duże dzierżawy.

— Ano, to chwała Bogu. Andrzej wziął też żonę bez posagu, i trafił najszczęśliwiej.

Wzmiankę o „żonie bez posagu“ zatuszowała Wolska chrząknięciem, bo młodzi wrócili, ale prezes nie obstawał przy temacie, rozmowa stała się ogólna. Bukowiecki był oszołomiony Warszawą, przyszła teściowa już potrafiła go zawojować, patrzał jej w oczy, gdy miał odpowiadać, poza cukrem i burakami nie umiał mówić.

Po chwili zaczęto się żegnać. Prezes najsolenniej za syna, synowę i siebie obiecał obecność na weselu, zamieniono mnóstwo czułych słówek i wizyta była skończona.

Stary odetchnął. Stanął u okna i zamyślił się.

— Dwa tysiące rubli! — zamruczał. — Jeśli baba za to nie będzie milczeć, to dla drugiej dostanie figę. I gdzie się ten nicpoń Andrzej podział? Jak na złość to urządził! No może babie gębę zatkam! Widzę, że tego draba łudzą jakimś posagiem! Ładnie się, osioł, ubierze!

A tymczasem Wolska wróciła do domu, narzeczony, zbywszy pańszczyzny, ulotnił się do hotelu, kobiety zaczęły sejmować.

— Jakto? Sam prezes? A Andrzejowie? — pytały córki.

— Ona niby u rodziny! On niby w Grodzisku! — odpowiedziała, brwi wznosząc Jadzia.

— To podejrzane! — zabrzmiał chór.

— Bardzo! — rzekła stara. — A szczególnie dlaczego? wiecie?

— No, no? Dlaczego? Czy zauważyła coś mama?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Tak, gdybyście byli sami, ale na nieszczęście nie jesteście. O! gdybyście byli sami, dzielny Simonie, wyborny patryoto, jakżebyś ty wykropił to dziecię, hę? Ale ty nie jesteś sam, i nie śmiesz być nikczemnym! wobec nas wszystkich ludzi uczciwych, którzy wiemy, że starożytni, na których wzór pragniemy się ukształtować, szanowali zawsze wszystko słabe, nie śmiesz, boś nie sam i tchórzysz, mój poczciwcze, kiedy musisz stanąć do walki z dziećmi mającemi pięć stóp i sześć cali...

— O!... — pomruknął Simon zgrzytając zębami.

— Kapecie! — zaczął znowu Fouquier — czyś uczynił Simonowi jakie zwierzenie?

Dziecię nie obejrzało się, ale w spojrzeniu jego malował się wyraz trudnej do opisania ironii.

— Zwierzenie dotyczące twojej matki? — dodał oskarżyciel...

W oku dziecka zabłysła pogarda.

— Odpowiadaj, tak lub nie — krzyknął Santerre.

— Odpowiadaj tak! — ryknął Simon wznosząc pociągiel nad dzieckiem.

Dziecię zadrżało, ale nie usiłowało bynajmniej uniknąć ciosu.

Zgromadzeni wydali coś na kształt okrzyku odrazy.

Sam tylko Lorin lepiej postąpił, bo poskoczył i wprzód nim ramię Simona opadło, schwycił go za pięść.

— Czy ty puścisz mię? — zawrzasnął Simon, cały drżący z wściekłości.

— No, no — powiedział Fouquier — niema w tem nic złego, że matka kocha swe dziecię, powiedz nam w jaki sposób kochała cię twoja matka. To może się jej na coś przydać.

Młody więzień wstrząsł się na myśl, że może być użytecznym swej matce.

— Ona mię kochała, panie, jak matka kocha swego syna — rzekł — matki jednym tylko sposobem umieją kochać swe dzieci i nawzajem dzieci jednym tylko sposobem miłość tę matkom swym odpłacają.

— A ja, mały wężu, utrzymuję żeś mi powiedział iż twoja matka...

— Tobie się tylko śniło — spokojnie przerwał Lorin — ciebie zmora często dusić musi Simonie.

— Lorinie! Lorinie! — jęknął Simon.

— No! tak, Lorinie, i cóż? nie możesz wybić tego Lorina, bo owszem on bije zawsze wszystkich złośników; nie możesz go denuncyować, bo jeżeli wstrzymał twoje ramię, to uczynił to wobec jenerała Santerre i obywatela Fouquier-Tinville, którzy go pochwalają, a przecież oni nie są obojętni! Nie ma więc sposobu zaprowadzić Lorina pod gilotynę tak jak ci się udało z Heloizą Tison; szkoda, a nawet boleśnie, ale tak to zawsze na świecie, mój biedny Simonie!

— Później! później! — odpowiadając głosem hyeny, zaryczał szewc.

— Dobrze, kochany przyjacielu — rzekł Lorin — ale za pomocą Najwyższej Istoty mam nadzieję!... Ah! myślałeś, że powiem za pomocą Boga? za pomocą więc Najwyższej Istoty i mojej szabli, mam nadzieję, że ci pierwej kiszki wypruję; no ale usuń się Simonie, bo mi zasłaniasz...

— Rozbójniku!

— Milcz! bo nic słyszeć nie można — zakończył Lorin, zabijając Simona swoim wzrokiem.

Simon zaciskał pięści, ale, jak powiedział Lorin, na tem tylko poprzestać musiał.

— Obywatelu Fouquier — rzekł Santerre — kiedy mały Kapet zaczął teraz mówić, to już zapewne milczeć nie będzie; przystąp zatem na nowo do badań.

— Czy będziesz mi teraz odpowiadał? — spytał Fouquier.

Dziecię znowu zamilkło.

— A widzisz, obywatelu, a widzisz! — rzekł Simon.

— To dziecię szczególnie jest uparte — wtrącił Santerre, mimowolnie zmięszany tą królewską stałością.

— Złego ma doradzcę — powiedział Lorin.

— W kim takim? — spytał Santerre.

— Przecież! w swoim patronie...

— Oskarżasz mię! — zawołał Simon — denuncyujesz mię! ah! ciekaw jestem, co z tego wyniknie...

— Pomówmy z nim łagodnie — rzekł Fouquier.

I obróciwszy się do prawie zupełnie nieczułego dziecięcia, dodał:

— No, moje dziecko, odpowiedz komisyi narodowej, nie utrudniaj twego położenia, odmawiając potrzebnych wyjaśnień, wspomniałeś obywatelowi Simon o pieszczotach twojej matki, o sposobie, w jaki cię pieściła, w jaki cię kochała.

Ludwik powiódł okiem po zgromadzonych i napełniwszy je nienawiścią zatrzymał na Simonie, ale nie odpowiedział.

— Czy się masz za nieszczęśliwego? — spytał oskarżyciel — czy masz złe mieszkanie, czy cię źle karmią, czy się źle z tobą obchodzą, może pragniesz większej swobody, innej żywności, innego więzienia, innego nadzorcy? może chcesz mieć za towarzyszy kilku chłopczyków w twoim wieku?

Ludwik wpadł znowu w głębokie milczenie, które przerwał był, występując jedynie w obronie matki.

Komisya zdumiała zdziwiona taką stałością i tak niepojętym rozsądkiem dziecka.

— W jakiż sposób zredagować mam protokół zeznań? — spytał zakłopotany protokólista.

— Najlepiej będzie poruczyć to Simonowi — powiedział Lorin — wszak nie ma nic do pisania, a tak lubi pisać i tak pięknie pisze.

Simon pogroził pięścią nieubłaganemu nieprzyjacielowi swemu.

Lorin roześmiał się na głos.

— Obaczymy, czy się tak rozśmiejesz, kiedy kichniesz w worek — z szaloną wściekłością rzekł Simon.

— Nie wiem, czy przed tobą, czy po tobie iść będę podczas ceremonii, którą mi grozisz — odparł Lorin — ale wiem, że niejeden śmiać się będzie, skoro twoja kolej nastąpi. Bogowie... Aha! powiedziałem w liczbie mnogiej... Bogowie jakiż ty brzydki będziesz wtedy Simonie! o! jaki okropny, jaki szkaradny! — I wesołym wybuchając śmiechem, Lorin cofnął się za członków komisyi, którzy nie mając tu nic do czynienia, wyszli.

Dziecię pozbywszy się tych natrętnych gości, siadło na łóżku i melancholicznym głosem zaczęło nucić ulubioną piosnkę swojego ojca.

XI.
Bukiet fijołków.

Łatwo było przewidzieć, że spokój niedługo mógł gościć w szczęśliwem schronieniu Maurycego i Genowefy.

Burza miotająca wiatry i pioruny zarówno wstrząsa gniazdem gołębi jak i drzewem, co je pod swem ramieniem kryje.

Genowefa wpadała z przerażenia w przerażenie; nie lękała się już o kawalera de Maison-Rouge, ale truchlała o Maurycego. Znając dobrze męża swojego, wiedziała, że ocalał od chwili jak znikł, pewna tego, drżała o siebie samą.

Udręczeń swoich nie śmiała powierzyć człowiekowi najmniej lękliwemu w owej epoce, w której nikt się nie lękał, ale zaczerwienione oczy, zbladłe usta, wyraznie świadczyły o tych uderzeniach.

Raz pogrążona w głębokich dumaniach nie słyszała, że Maurycy wszedł po cichu, stanął w progu i patrzył, jak nieruchoma, z osłupiałym wzrokiem, bezwładnie spuściła ręce, a myślącą głowę na pierś swą pochyliła.

Maurycy mocno zasmucony patrzył tak przez chwilę, a umiejąc czytać w głębi jej duszy, przeniknął wszelką myśl młodej kobiety. Zbliżył się więc ku niej i rzekł:

— Ty już nie kochasz Francyi, Genowefo, wyznaj szczerze. Unikasz nawet powietrza, jakiem w niej oddychają i ze wstrętem tylko zbliżasz się do okna.

— Niestety! — odpowiedziała Genowefa — wiem, że myśli mej przed tobą ukryć nie mogę; zgadłeś, Maurycy.

— Piękna to jednak kraina — rzekł znowu młodzieniec — życie w niej ważne jest i dziś pełne zajęcia; ta wrząca czynność trybuny, klubów, spisków, wielce osładza godziny wieczornej pogadanki przy kominku. Wróciwszy do domu człowiek, mocno kocha, bo się lęka, niepewny, czy jutro będzie mógł kochać znowu, bo może żyć już przestanie.

Genowefa wstrząsnęła głową.

— O! niewdzięczna kraino! — rzekła.

— Jakto niewdzięczna?

— Tak, ty któryś tyle dla jej szczęścia uczynił, alboż nie jesteś prawie podejrzany?

— Ale ty, kochana Genowefo — mówił Maurycy, rzucając na nią pełne miłości spojrzenie — ty, przysięgła nieprzyjaciółko takiego szczęścia, ty, któraś tyle przeciw niemu przedsiębrała, śpisz spokojna i nietknięta pod dachem republikanina; sama więc widzisz, że jest jakaś równowaga.

— Prawda — odpowiedziała Genowefa — prawda, ale czyliż to długo potrwa, czyliż niesłuszność długo trwać może?

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że ja, arystokratka, która skrycie marzę o pognębieniu waszego stronnictwa, o ruinie waszych pojęć, ja, która nawet w twojem mieszkaniu knuję spiski na korzyść dawnego rządu, ja, która poznana, skarżę się na śmierć i hańbę, przynajmniej według waszego zdania; ja, mój Maurycy, nie zostanę w tym domu, jak zły duch i nie pociągnę ciebie za sobą na rusztowanie.

— I gdzież się udasz, Genowefo?

— Gdzie? któregokolwiek dnia skoro tylko wyjdziesz, mój Maurycy, pójdę i sama się oskarżę, nie powiadając skąd przybywam.

— O! — krzyknął Maurycy aż do głębi serca dotknięty — czyż już tak prędko stałaś się niewdzięczną!

— Nie — odrzekła młoda kobieta, zarzucając oba ramiona na szyję Maurycego — nie mój przyjacielu, przysięgam ci miłość, a miłość jak najczystszą. Nie chciałam, aby brata mego schwytano i zabito jako buntownika; nie chcę również, aby kochanka mojego schwytano i zabito jako zdrajcę.

— I ty to uczynisz, Genowefo? — zawołał Maurycy.

— Boga, który z nieba patrzy na mnie, biorę za świadka, że uczynię! — odpowiedziała młoda kobieta. — Wreszcie niczem byłaby obawa, ale zgryzota. I to mówiąc pochyliła głowę, jakby ciężaru tej zgryzoty znieść nie mogła.

— O! Genowefo! — rzekł Maurycy.

— Pojmujesz dobrze Maurycy, co mówię, a nadewszystko co czuję — dodała Genowefa — bo i ty także masz zgryzoty. Wiesz, żem ci się oddała, choć do ciebie nie należę; żeś mię wziął, nie pytając, czy mam prawo oddać się tobie.

— Dosyć! — rzekł Maurycy — dosyć! — Zmarszczył czoło i smutne postanowienie zajaśniało w jego czystych oczach. — Dowiodę ci Genowefo, że cię kocham jedynie — odpowiedział Maurycy. — Przekonam cię, że miłość moja gotowa jest na wszelką ofiarę. Nienawidzisz Francyi, zgoda! zatem opuścimy ją.

Genowefa załamała ręce i spojrzała na kochanka z pełnym zachwycającego uwielbienia wyrazem.

— I ty mię nie zwodzisz, Maurycy — wyjąkała.

— Czyliżem kiedy zwodził? — spytał Maurycy — czy to miało miejsce nawet w chwili, gdy dla posiadania ciebie zhańbiłem się.

Genowefa zbliżyła swe usta do ust kochanka, i że tak powiemy, zawisła na szyi jego.

— Tak, masz słuszność, Maurycy — powiedziała. — Ja to ciebie zwodziłam, dlatego też nie doznaję wyrzutów i zgryzot, ale czuję, jak dalece poniżyłam moją duszę; ale ty przynajmniej, ty ją rozumiesz, ty wiesz, że nadto cię kocham iżbym prócz obawy utracenia ciebie, doznawała innego jakiego uczucia. O! mój luby, uciekajmy, uciekajmy daleko, tam gdzie nas nikt nie doścignie.

— O! dzięki ci! dzięki! — rzekł Maurycy uniesiony radością.

— Ale jakże uciekać? — mówiła znowu Genowefa, truchlejąc na tę myśl okropną. — Dziś, nie tak łatwo uniknąć sztyletu zbójców z dnia 2-go września, lub toporu katów z dnia 21-go stycznia.

— Genowefo — powiedział Maurycy — Bóg się nami opiekuje. Dziś otrzyma nagrodę dobry czyn, który chciałem spełnić z powodu 2 września. Miałem zamiar ocalić biednego księdza niegdyś mojego współucznia. Znalazłem Dantona, na którego prośbę komitet publicznego bezpieczeństwa wydał paszport temu nieszczęśliwemu i jego siostrze. Danton wręczył mi ów paszport, ale nieszczęśliwy ksiądz, zamiast przybyć do mnie po odbiór tego paszportu, jak mu to zaleciłem, zamknął się u karmelitów i tam umarł.

— A cóż się stało z paszportem — spytała Genowefa.

Ciąg dalszy nastąpi).

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

(Ciąg dalszy).

Zaraz się panowie przekonacie, jak ważną rzeczą jest być ostrożnym aż do szpiku kości; byliby mnie niewątpliwie spostrzegli, gdybym był karabina nie zrzucił na dół. Tak jednak nie widzieli nic i sądzili zapewne, że ich towarzysz udał się w dalszą drogę po dachach. Poszli więc za nim, a ja, skoro mi zniknęli z oczu, dopadłem do otworu w dachu i zbiegłem szybko po schodach na dół.

Dom był najwidoczniej niezamieszkały, gdyż przeszedłem bez przeszkody przez sień i przez otwarte drzwi wydostałem się na ulicę.

Była to wąska, pusta uliczka. Wyszedłem z niej na jakąś szerszą, na której paliły się ognie, a obok nich leżeli śpiący żołnierze i chłopi. Zapach był straszny w tem mieście. Dziwiłem się też, jak ludzie w takiej atmosferze mogą się kochać. Podczas tych wielu miesięcy, w których trwało oblężenie, nie zamiatano ulic i nie grzebano zabitych i zmarłych.

Wielu ludzi chodziło od jednego ognia do drugiego, a między nimi spostrzegłem kilku mnichów. Ponieważ zauważyłem, iż kręcili się bez przeszkody, nabrałem odwagi i pobiegłem szybko na wielki, czworokątny plac.

Raz zerwał się od ognia jakiś człowiek i chwycił mnie za rękaw. Wskazał na kobietę, która bez ruchu leżała przy drodze; spostrzegłem, iż sądzi, że ona umiera; chciał abym jej udzielił ostatniej pociechy. Uciekłem się do tego niewielkiego zasobu łaciny, który posiadałem, i rzekłem nad nią z namaszczeniem:

— Ora pro nobis, Te Deum laudamus, ora pro nobis...

Gdy tak mówiłem podniosłem rękę do góry i wskazałem naprzód. Drab puścił moją rękę i w milczeniu odstąpił na bok, poczem uroczyście udałem się w dalszą drogę.

Jak przypuszczałem, wychodziła ta szeroka ulica na główny plac, który mi opisał generał. Paliło się na nim mnóstwo ogni, a od żołnierzy aż się roiło. Przeszedłem szybko dalej i nie troszczyłem się wcale o kilku ludzi, którzy coś do mnie przemawiali.

Przesunąłem się obok katedry i wszedłem w ulicę, którą mi opisano. Ponieważ znajdowałem się teraz w dzielnicy, na którą nie mogliśmy wykonać ataku, nie było tu żołnierzy i ognie się nie paliły. Prócz słabego światełka w jednem z okien dokoła było ciemno.

Znalazłem prędko dom między szynkiem a sklepem szewca. Nie było w nim jednak światła, a brama była zamknięta. Pocisnąłem ostrożnie klamkę, i czułem, że się poddaje. Nie mogłem wiedzieć, kto się znajduje w środku, ale musiałem się odważyć. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Było najzupełniej ciemno, zwłaszcza, gdy zamknąłem drzwi za sobą. Zacząłem macać ostrożnie i namacałem wreszcie brzeg stołu. Stanąłem i zacząłem się zastanawiać nad tem, co mi najpierw uczynić należy i jak najlepiej otrzymam wiadomość od tego Huberta, w którego domu się znajdowałem.

Każdy błąd mógł mnie przyprawić nietylko o utratę życia, ale zepsuć najzupełniej moje posłannictwo. Być może, że nie mieszkał tutaj sam, lecz przy jakiejś rodzinie hiszpańskiej, a mój błąd mógł się stać dla niego i dla mnie nieszczęściem. Rzadko kiedy w życiu, panowie, znajdowałem się w tak brzydkiem położeniu.

Nagle krew mi zastygła w żyłach. Prosto do ucha szepnął mi jakiś głos:

— Mon Dieu! Oh, mon Dieu! Mon Dieu!

Pochodził on od kogoś, który walczył ze śmiercią. Nastąpił potem jakiś jęk i wszystko ucichło.

Przeszły mnie dreszcze, był to straszny ton, ale wzbudził we mnie pewnego rodzaju nadzieję, gdyż posłyszałem słowa francuskie.

— Kto tam? — zapytałem.

Usłyszałem jęk, ale żadnej odpowiedzi.

— Czy to pan, panie Hubert?

— Tak, tak — usłyszałem słowa, ale wyrzeczone tak po cichu, że je ledwie dosłyszałem. — Wody, na miłość Boga wody!

Posunąłem się naprzód, natknąłem się jednak na ścianę, znowu usłyszałem jęk, teraz już najwyraźniej nad moją głową. Wzniosłem rękę do góry, ale chwytałem tylko powietrze.

— Gdzie pan jesteś? — zapytałem.

— Tutaj, tutaj! — szepnął po cichu drżącym głosem.

Wyciągnąłem rękę wzdłuż ściany i pochwyciłem bosą nogę. Znajdowała się ona na wysokości mej twarzy, a jednakowoż, o ile wyczuć mogłem, nie miała żadnej podstawy. Cofnąłem się z przerażenia.

Wyciągnąłem z kieszeni krzesiwko i zrobiłem światło. Przy pierwszej iskrze wydawało się, że jakiś człowiek wisi przedemną w powietrzu; z osłupienia upuściłem krzesiwo. Podniosłem je zaraz i drżącymi palcami zacząłem krzesać na nowo. Tym razem zapaliła się nietylko hubka, ale i świeca woskowa. Podniosłem ją do góry. To, co ujrzałem zmiejszyło coprawda moje zdumienie, ale spotęgowało za to przerażenie.

Ten człowiek był przybity do ściany, tak, jak się czasem przybija łasicę, srokę, lub nietoperza do ściany stodoły lub stajni. Potężne gwoździe były wbite w jego obie ręce i nogi.

Biedaczysko był konający, głowa zwisła mu na ramiona, a czarny język wisiał mu z ust. Umierał z pragnienia i ran, a te potwory postawiły przed nim na stole puhar z winem, aby powiększyć jego katusze. Podałem mu ten kielich. Mógł jeszcze łykać, a oczy, napół przygasłe już, ożywiły się cokolwiek.

— Czy pan jesteś Francuzem? — szepnął.

— Tak. Wysłano mnie, abym się dowiedział, co się z panem stało.

— Wykryli mine. Zamordowali mnie. Ale nim umrę, opowiem panu, co wiem. Jeszcze trochę wina, proszę. Prędko, prędko! Zaraz się wszystko skończy. Siły mnie opuszczają. Posłuchaj pan. Proch znajduje się w pokoju przeoryszy. Ściana jest prześwidrowana, a koniec lontu znajduje się w celi siostry Angeliki, obok kaplicy. Przed dwoma dniami wszystko już było gotowe. Przyłapali jednak mój list i zadali mi takie straszne tortury.

— Wielki Boże! Więc pan tu już wisi od dwóch dni?!

— Wydaje mi się, że to już dwa lata. Towarzyszu, służyłem Francyi dobrze, prawda? Wyświadcz mi pan teraz małą usługę. Przeszyj mi pan serce, przyjacielu. Proszę, błagam pana, skróć cierpienia moje.

Stan tego człowieka był istotnie beznadziejny, a było dla niego naprawdę wybawieniem spełnienie jego prośby. A pomimo tego nie mogłem mu przecież z zimną krwią wpakować sztyletu w serce, aczkolwiek byłem przekonany, że sam byłbym błagał o taki objaw litości, gdybym się znajdował na jego miejscu.

Nagle przyszła mi myśl do głowy. W kieszeni miałem przecież środek, który sprowadzał natychmiastową śmierć bez bólu. Był to mój własny środek ochronny przeciwko możliwym torturom, ale ten biedak potrzebował go natychmiast, a przytem tak dobrze zasłużył się Francyi.

Wyjąłem buteleczkę i wlałem jej zawartość do wina. Chciałem mu je podać, gdy nagle przed bramą usłyszałem szczęk broni. W jednej chwili zgasiłem światło i ukryłem się za kotarą przy oknie.

W chwilę potem otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch Hiszpanów — wysokich, ponurych ludzi po cywilnemu, ale z muszkietami na ramieniu. Spoglądałem przez szparę w kotarze w ogromnym strachu, że natrafili na mój ślad, ale wizyta ich miała widocznie tylko na celu nacieszenie się widokiem umierającego w strasznych cierpieniach.

Jeden z nich podniósł latarkę do twarzy nieszczęśliwego, poczem obydwaj wybuchnęli szatańskim śmiechem.

Następnie wzrok człowieka, który trzymał latarkę padł na puhar z winem. Ujął go, przyłożył go do ust Huberta, a gdy biedny człowiek wyciągnął głowę, aby się napić, odjął go i sam zrobił potężny łyk. Natychmiast wydał straszny krzyk, zaczął wymachiwać rękami w powietrzu i padł nieżywy na ziemię. Jego towarzysz spojrzał na niego z przerażeniem i zgrozą. Owładnął nim jakiś zabobonny strach, sam wrzasnął nieludzkim głosem i wypadł, jak szalony, z mieszkania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Ale drogą nazwać nie godziło się przesmyku, którym się puścili... była to wązka luka wśród okopów, rowów, zawalona trupami, zryta kulami, przez którą przedzierać się było potrzeba. Oddział szczupły jazdy georgijskiej rzucił się za Pułaskim w tropy. Zrozumieli wszyscy, widząc Anglików wycieczkę, że myślą Pułaskiego było po za niemi wedrzeć się do twierdzy i miasta.

Z taką wściekłością i żądzą, w szalonym pędzie czwałem rzucili się ochotnicy ku twierdzy — oddział toczył się ściśnięty, zbity, na czele z podniesioną szablą Pułaski, tuż obok, osłaniając go Pluta i Rogowski. Chwila tego prądu niepohamowego była niestety krótką. Z bastyonu zagrzmiały dzieła, ostatni jeźdźcy wparli się na poprzedzających, cisnąć i prąc jakby na żelazną zaporę... bo pierwszy szereg został wstrzymany nagle. Pułki zmieszały się w jeden kłąb, w jednę nieforemną masę, ludzie i konie... trupy i żywi. Na przedzie kolumny wódz leżał obalony z koniem... a w koło mrowie Anglików.

Rogowski, który go nie opuścił i Karol, oba odcinali się już napastnikom pod kul gradem.

Pułaski oparty na łokciu wskazywał jeszcze jedną ręką twierdzę, gdy drugą cisnął pierś, z której buchała krew. Nogę miał urwaną od działowej kuli. Rogowski schylał się, aby podźwignąć, gdy karabinowa kula z okopów zryła mu czaszkę i obaliła z konia, zbroczonego obok wodza. Wstrzymany w ciasnem przejściu oddział, dogodnym był celem wystrzałów, kule sypały się gęsto, niektórzy z ochotników tył podali, mała garść skupiła się około Pułaskiego, który głosem osłabłym wołał jeszcze: Forward!

Karol z Jerzmanowskim, Armandem i kilką ludźmi porwawszy rannego śmiertelnie Pułaskiego i bezprzytomnego Rogowskiego, pod zasłoną pozostałej kupki, która ich otoczyła... zwrócili się nazad ku obozowi.

Pochód to był żałobny ludzi bezprzytomnych, zgniecionych, idących machinalnie... gdzie ich już wiódł tylko instynkt zachowawczy. W milczeniu rzucali po sobie obłąkanemi oczyma, gniew, znękanie, żal, walczyły w ich piersiach z sobą.

Pułaski dogorywał... doniesiono go żywym jeszcze do namiotu i złożono na tem łożu, z którego już nie miał powstać. — Chwilami omdlewał całkiem, to zrywał się, chwytał za piersi, rękę podnosił i niezrozumiałemi wyrazy zdawał się jeszcze chcieć zagrzewać do walki.

Najbliżsi nawet już słów jego zrozumieć nie mogli... wkrótce go też siły opuszczać zaczęły, myśl plątać dziwnie... widocznem było konanie ciężkie człowieka, który ma jeszcze w sobie całą życia potęgę i nie chce poddać się śmierci. Ale ciało poszarpane stygło, krew ubiegała.

Reszta mocy przeszła w gorączkę i marzenie, jakby senne...

Dwa ciała zbroczone leżały obok siebie tam, gdzie przed chwilą, razem gotując się do bitwy siedzieli, Pułaski i Rogowski... Karol klęcząc u łoża wodza, trzymał drżącą dłoń i starał się ostatnie zrozumieć rozkazy...

Francuzki chirurg wezwany do rannego, przyszedł tylko, aby wszelką odebrać nadzieję.

Pierś była strzaskana, noga — została na pobojowisku, krew nie przestawała upływać.

Resztka już tylko życia błyskała chwilami, otwierały się konwulsyjnie powieki nad oczyma, coraz bardziej zamglonemi, ściskały się ręce niespokojnie... aż po tych wybuchach gorączkowych, pasującej się ze zgonem duszy, nadeszło odrętwienie śmierci, ciało stygło... oddech ustał... żółta bladość, okrywająca twarz, oznajmiła Karolowi, że wódz jego, brat, przyjaciel, opiekun, nie żył.

Takim był zgon tego człowieka, któremu przeznaczenie dało najszlachetniejszą duszę, na to tylko, by cierpiała niewdzięczność od swoich, potwarze... a potem bóle wygnania, a wreszcie... lekceważenie pośmiertne we własnej ojczyźnie, — wynagrodzone czcią u obcych. Ostatni z rodziny, ostatnią krwi jej kroplę wylał w sprawie, której wiernym dotrwał do zgonu.

Gdy Rogowski ranny ciężko kulą, która mu z czaszki skórę zdarła, po kilku godzinach nieprzytomności przyszedł znowu do zmysłów — po

twarzach Karola i otaczających go towarzyszów poznał, że ukochany wódz już nie żył.

Żałoba oblokła ich wszystkich... czuli się bez niego sierotami; bez niego Ameryka, wojna, sława, przyszłość świetna nic ich nie obchodziła. — Rogowski płakał jak dziecko, Karol stał jak posąg zmartwiały i znękany.

Żal powszechny w całym obozie ulżył może ich strapieniu, przekonaniem, że umiano ocenić wielkiego męża. Lincolne, Wayne, Washington ciężko byli dotknięci stratą człowieka, którego energia za pułk często starczyła, podwajała męstwo w żołnierzu, obudzała współzawodnictwo, była bodźcem i przykładem.

Do smutku powszechnego przyczyniało się też niepowodzenie tego szturmu, który na wielkie naraził ich straty. D'Estaing sam ranny nie doliczył się siedmiuset ludzi, czterechset padło z wojsk Lincoln'a. W kilka dni potem, admirał zmuszony odpłynąć, począł czynić przygotowania do powrotu i Amerykanie ustąpili z pod Savanny.

Od dnia tego, w którym ciało bohatera złożyć musiano w amerykańskich piaskach na brzegach Savanny. Rogowski i Karol myśleli tylko o powrocie. Pierwszego rana czyniła na długo niezdolnym do boju, drugi tłómaczył się sam przed sobą, że wraca spełniając rozkaz Pułaskiego i dla opieki nad rannym. W początkach jednak nie śmiejąc się przyznać do myśli wspólnej, czekali pierwszej zręczności, aby się wzajem wybadać. Rogowskiemu łatwiej było począć, mówił o ranie, o potrzebie spoczynku, o tęsknocie do kraju; Pluta nadspodziewanie mu zawtórował zgodnie, a gdy raz postrzegli, iż jednego pragną, wykonanie przyspieszono.

Pluta w imieniu obu udał się do Lincolna, próżno zachęcał ich do pozostania, obiecując im złote góry. Karol składał się raną Macieja i niepodobieństwem opuszczenia go. Podali się więc razem o uwolnienie. Szło tylko o to, ażeby nadejść mogło, nimby flota admirała d'Estaing odpłynęła. — Dla pospiechu Pluta sam z jednym przewodnikiem, puszczami i błotami przedarł się do głównej kwatery Washingtona. On mu pierwszy przyniósł smutne wieści o klęsce pod Savannah i Pułaskiego zgonie, prawdziwie bohaterskim.

Chociaż i Washington i Kościuszko, którego Karol tam znalazł, starali się ich powstrzymać — postanowienie było niezłomne; odebrali uwolnienie i Pluta pożegnawszy przyjaznych sobie, odprowadzony przez Kościuszkę, pospieszył dniem i nocą, ażeby stanąć na czas dla zabrania się na okręt francuski. Mieli oni obietnicę admirała d'Estaing, iż przy jego boku podróż do Europy odbyć będą mogli.

Dnia dwudziestego ósmego października byli już na pokładzie statku, który wiatr pędził od Nowego Świata nazad do starej Europy, do żałobnej Polski.

Tak dla Karola Pluty skończyła się pierwsza epoka jego życia, próby i ofiary.

Powracał z siłami młodości, w pełni życia, przecierpiawszy wiele, zahartowany, — a w sercu tak świeży, młody, dziewiczy, jak był wyjechał ze Skały — wracał ze wszystkiemi swemi marzeniami spotęgowanemi swemi rycerskiemi przygody, które mu się, jak sen piękne wydawały.

Błogosławieństwo matki, opieka Boża, wśród tego świata pełnego zepsucia, płochości, zgorszeń, wszystkiego, co palne materyały młodości podżegać może — zachowały go nieświadomym złego, głuchym na nie, obojętnym na to, co z poezyą duszy jego nie dźwięczyło zgodnie i harmonijnie.

Gdy stopą dotknął tego pokładu, ponad którym powiewała bandera Francyi, zdawało mu się, że za chwilę już będzie w ojczyźnie, rosła niecierpliwość, żądza widzenia swoich, przyciśnięcia do piersi stęsknionej rodziny, krewnych, przyjaciół, znajomych i nieznajomych, a braci. Przed oczyma bez ustanku przesuwały się dziecinne, młodociane wspomnienia, obrazy tej Skały, którą był pewien tak zastać, jak ją owego pamiętnego odjechał wieczora.

Te ciężkie lata tułactwa zdawały mu się godziną jedną.

Nie przypuszczał nawet, ażeby nieubłagany czas wykruszył co z tego marzenia, zniszczył tę cudną całość rodzinnego dworu. Nic go nie przygotowywało do zawodu, serce nie przeczuwało, myśl roiła tylko radość powrotu i serdeczne rozrzewnione przyjęcie.

Płynął pełen nadziei, pełen miłości, spragniony, nie domyślając się, co go na tej ziemi snów rajskich, w progu czekało.

DZIAŁ KOBIECY.

Nowa gałąź przemysłu.

Od dłuższego już czasu, moda żąda coraz to bardziej artystycznych szpilek do kapeluszów. Wskutek tego przemysłowcy zmuszeni byli do wyszukiwania ozdób nowych i nieznanych. Od pewnego też czasu w Ameryce i Francyi zjawiły się szpilki pełne smaku i subtelnego wykonania — były one ozdobione różami i innemi kwiatami subtelnej roboty. Ze względu na wysokie zyski z owej produkcyi, sekret wyrobu utrzymywano w tajemnicy przez długi czas.

Konkurujący jednak przemysłowcy niemieccy starali się wykryć tajemnicę produkcyi wszelkiemi siłami. Nie szczędzono ani kosztów ani zachodów. Pracowali specyaliści i całe komisye. W końcu zagadka została rozwiązana, a pisma niemieckie zawodowe wykazują, że sposób jest łatwy, tak łatwy, że mógłby być wybornie i u nas zastosowany. Nie potrzebuje on wcale wielkich nakładów ani nadmiernych kosztów produkcyi.

Nowe wyroby galanteryjne są to bowiem galwanizowane kwiaty. Zrozumiano od razu, że pod powłoką metalową były naturalne kwiaty, trudne jednak było wyświetlenie tajemnicy, dla czego kwiaty nie tracą swych kształtów, naprzykład zupełnie rozwinięta róża zachowuje naturalny kształt swych listków.

Zaczęto szukać sposobu, który zabezpiecza kwiaty przy galwanizowaniu od działania na nich cieczy. Próbowano rozmaitych sposobów płukania i woskowania, ale wszystkie próby zawodziły — pod wpływem roztopionego wosku kwiaty zawsze traciły swój kształt. Lepsze wyniki dawały zlewanie kwiatów za pomocą specyalnie zrobionego rozpylacza „bronzem glinowym“ (aluminiowym). Jednak i tym sposobem nie udało się otrzymać zupełnie równomiernej powłoki na kwiatach.

Zarzucono więc i ten sposób, a zaczęto próbować suszenia kwiatów. Dopiero na tej drodze udało się osiągnąć pożądane skutki. Najładniejsze okazy kwiatów z nieuszkodzonemi listkami i możliwie długiemi szypułkami, po dokładnem strzepnięciu rosy wkłada się do czworokątnego naczynia szklanego lub glinianego. Poprzednio gałązkę i szypułkę umacnia się drutem miedzianym, aby nadać kwiatom większą sztywność. Naczynie wypełnia się do wysokości trzeciej części miałkim i czystym suchym białym piaskiem „srebrzystym“ i w ten piasek nasadza się kwiaty, lub też wiesza się kwiaty na specyalnie umocowanym drążku drewnianym i następnie zasypuje się bardzo ostrożnie i powoli naczynie piaskiem aż do wierzchu. Poczem pozostawia się naczynie na 2—4 dni w stanie nieruchomym.

Po upływie oznaczonego terminu usunąwszy ostrożnie piasek z naczynia, przekonamy się, że wyssał on z kwiatów wszystkie soki i że kwiaty są już zupełnie suche, nie zmieniły jednak wcale swoich kształtów. Przeciwnie wysuszone w ten sposób listki róży wykazują znacznie większą odporność, tak, że nawet można je pokryć warstwą laku kopalowego, co da się najlepiej zrobić za pomocą rozpylacza do farby.

Przechowywane w ten sposób kwiaty suszy się powtórnie na powietrzu a potem zanurza się w cieczy, składającej się z 1 części azotanu srebra, 4 części wody i 6 części alkoholu. Zmoczone kwiaty składa się do zamkniętego naczynia, w które napuszcza się siarkowodoru. Na kwiatach powstaje cienka powłoka siarczku srebra, nadająca im wielką trwałość.

Po zupełnem wysuszeniu kwiatów wkłada się je do kąpieli galwanicznej i nadaje się im pożądaną powłokę metalową. Otrzymane w ten sposób wyniki sowicie opłacają wszystkie trudy i przechodzą oczekiwania. Wyjęta z kąpieli galwanicznej róża lub inny kwiat, zdaje się jeszcze oddychać i żyć pod swym sztywnym pancerzem.

Jak widać sposób ten nie jest zupełnie trudny, a wymaga tylko wprawy i subtelnego, a ścisłego wykonania. Produkcya zaś tego rodzaju mogłaby znaleźć zbyt szeroki.

Warto więc, aby i u nas znaleźli się ludzie, którzyby nieco bliżej zajęli się nową gałęzią przemysłu i w ten sposób wyparli wyroby niemieckie.

K.

Wynalazca krynoliny.

W paryskim Figarze Louis de Laudon opowiada następującą interesującą historyę:

Niedaleko New-Yorku w mieście Hoboken nad rzeką Hudson, umarł niedawno pewien stary, zapomniany Francuz...

Jesteśmy ludźmi bardzo niewdzięcznymi, współczesna młodzież zapomniała już o Józefie Thomas'ie· A przecież ten sam Józef Thomas przed pół wiekiem budził podziw powszechny. Był on z zawodu wynalazcą i jakkolwiek nazwisko jego nie było tak sławnem, jak na to zasługiwało, to jednak wynalazek jego znany był przez wszystkich. I jest tak teraz i będzie tak zawsze. Dopóki istnieć będą kobiety, które poddają się chętnie najdziwaczniejszym wymysłom mody i dopóki istnieć będą mężczyźni, wiecznie niezadowoleni ze strojów kobiecych, zawsze wynalazek Thomas'a żyć będzie w pamięci ludzkiej. Wynalazkiem tym bowiem jest ni mniej ni więcej — tylko krynolina.

Józef Thomas nie wynalazł bynajmniej materyału zwanego „krynoliną“, a który składa się z mocnych nitek, włosienia i przeznaczony był na to, aby niektórym częściom kostyumu nadać odpowiednią sztywność.

Przemysł francuski fabrykował już od dawna takie materyały, z których jeszcze za czasów Ludwika XV-go sporządzono wysokie kołnierze wojskowe. Nie tu więc należy szukać zasług naszego wynalazcy. Józef Thomas był duchem nawskroś nowoczesnym: nie pracował w włosieniu już dawno przestarzałem. Był przecież dzieckiem wieku pary i stali, dlatego wybrał metal. Józef Thomas był, jeśli tak powiedzieć można, inżynierem damskim. Jego pomysły były zawsze bardzo proste, i dlatego tak wspaniałe. Przed Józefem Thomas'em kostyumy eleganckich kobiet sporządzano tylko z mataryałów roślinnych. Dopiero Thomas wpadł na pomysł genialny, aby stworzyć uzbrojenie metalowe. I dlatego jego krynolina godną jest rywalizować nawet z koleją żelazną.

Ileżto cudów przemysłu, ile postępów nauki musiało zostać zdobytych, aby ten śmiały nowator mógł odwarzyć się na zbudowanie tej klatki stalowej, wewnątrz której miała odtąd tak długo przebywać bobieta. Pomysł Thomas'a był niezwykłej zuchwałości. Przecież zamierzał on ukryć wszystkie wdzięki kobiece, jej kształty toczone i jej chód pełen wdzięku. I wynalazek został pomimo wszystko powitany z olbrzymim entuzyazmem. Kapryśne kobiety lubią takie niespodzianki.

A wszystko to działo się mniej więcej około roku 1854. W tym roku w Londynie odbywała się wystawa wszechświatowa. W sprawozdaniu francuskich jury znajdujemy statystykę o gospodarczej doniosłości genialnego wynalazku.

Roczna produkcya prętów stalowych do krynoliny wynosiła 4.300.000 kilogramów wartości 10.500.000 franków. W tym przemyśle Francya stoi na czele wszystkich narodów. Fabrykuje ona rocznie 2.400.000 tych prętów stalowych.

Józef Thomas wynalazł dla swej ojczyzny nowe źródło bagactwa. Było rzeczą zupełnie naturalną, że on sam zdobył przytem pokaźny majątek, którym rozkoszował się podczas swego dobrowolnego wygnania nad rzeką Hudson. Bądź co bądź Józef Thomas był w swoim rodzaju dobroczyńcą kobiet. Czyż wszystkie spojrzenia nie biegły ku kobietom, które za pomocą krynoliny ukryły wszystkie swe wdzięki. Nawet najlepszy znawca kobiet mógł się łatwo omylić — niejednokrotnie oszukała go krynolina. Była ona bowiem tak złudna, jak sama miłość.

Prawdopopobnie też moda z r. 1910, która jest tej krynoliny zupełnem zaprzeczeniem, przyczyniła o śmierć Józefa Thomas'a. Widocznie przeczuł, że jego rola już skończona.

A może umarł przedwcześnie — może i krynolina jeszcze wróci.

Dom i kuchnia.

Kaczka na czerwonem winie.

Oczyszczoną kaczkę nasolić i obrumienić na maśle, po obrumienieniu wsypać łyżkę mąki, zasmażyć i wlać szklankę czerwonego wina, wkroić pół cytryny w plasterki, dodać łyżeczkę cukru i dusić na wolnym ogniu.

Raki z ostrym sosem (a la Bordelaise)

Zasmażyć łyżkę masła z małą łyżeczką mąki, usiekać drobniuśko marchewkę, cebulę, pietruszkę i kawał selera, jarżynki to włożyć do rondla z masłem, dodać soli, pieprzu, ziela angielskiego i liści bobkowych, wlać dużą szklankę czerwonego wina, a gdy się zagotuje, włożyć raki dobrze wymyte, dodać łyżeczkę papryki i łyżkę masy pomidorowej i gotować na wolnym ogniu pod pokrywką. Przed podaniem wsypać siekanego koperku. Podać raki z wszystkiemi jarzynkami.

Kapusta duszona — parzybroda.

Główkę kapusty polskiej lub włoskiej pokrajać na ćwiartki, a odrzuciwszy pierwsze liście i głąbiki, zalać ją w rondelku wrzącą wodą, tyle tylko, żeby ją pokryła, dodać kawałek masła, soli, nakryć i dusić pod pokrywą na wolnym ogniu. Gdy kapusta już w połowie miękka, dorzucić kilka kartofli pokrajanych w ćwiartki, znów nakryć i dalej gotować do miękkości. Na wydaniu zaprawić cebulką zasmażoną w maśle.

:: HUMORYSTYKA ::

Wszystko dla niego za młode.

— Chcesz się pan żenić z moją córką? Otóż najmłodsza dostanie 5 000 talarów posagu, starsza 10 000, a najstarsza 15 000 talarów.

— Czy nie ma pan jeszcze starszej?

— Więc ja się dzisiaj pana po raz ostatni zapytuję, chcesz pan mi ten dług wrócić lub nie?

— No, Bogu dzięki, przecież są widoki, że te wieczne pytania raz się skończą.

W sądzie.

— Niebezpieczny złoczyńco, schwytany zostałeś na wielkiej kradzieży, spełnionej w bardzo obciążających okolicznościach. Miałeś też dużo pracy?

— O panie sędzio — odparł spokojnie złodziej — praca nie hańbi.

— Wiesz co, kolego, mnie się zdaje, że cierpię na rozmiękczenie mózgu? Nie znasz środka na tę chorobę?

— Bardzo prosty na to środek. Jeśli twój mózg zaczyna mięknąć, spróbuj żuć cement a zobaczysz, jak ci mózg zacznie twardnieć?

Nasze dzieci.

— Proszę mamy, czy to prawda, że nauczyciele są mądrzy?

— Prawda kochanku.

— A dlaczego ten pan nauczyciel u nas abecadła nie umie?

— Co ty pleciesz Stasiu.

— Jak mamusię kocham! Przecież wczoraj pokazał mi abecadło i pytał się, co to za litera?

Powiadają, że cnota to najdroższy klejnot. Jaka szkoda, że nie można jej nosić na szyi, albo w uszach.

Słuszny wniosek.

— Kaci tam wiedzą, skąd to pochodzi, że człowiek nie może wcale wyjść z tych kłopotów pieniężnych — mówi ojciec do siebie.

— A co trzeba zrobić, żeby mieć pieniądze? — pyta pięcioletni synek.

— Jeżeli będziesz pilnym, porządnym i wiele się nauczysz, to dużo zarobisz pieniędzy — poucza go ojciec.

— Aha! — powiada chłopiec — toś ty, tato, zapewnie nie był pilnym i porządnym, i wiele się nie nauczyłeś?

Uprzejmy.

— Tylko jedźcie doróżkarzu ostrożnie, aby nie było nieszczęścia.

— I i... niech się pani nie boi, w razie wypadku, odwiozę do szpitala na darmochę... niech tam...

W strachu.

Pewien nauczyciel wiejski był bardzo ostry i dzieci się go bały jak ognia, bo za najmniejsze przewinienie albo i za zły humor pana profesora sypały się baty. W takim to humorze, krzyknął grzmiącym głosem: — Wojtek, kto stworzył niebo i ziemię?

— To nie ja, panie profesorze, to nie ja — uniewinnia się zalękniony dzieciak...

Smutne następstwa żeniaczki.

— Czyś nie zauważył przyjaciela Buruckiego, jak sam ze sobą na ulicy rozmawiał. Nie podobna przecie przypuścić, żeby zmysły jego nie były w porządku.

— Ależ gdzie tam. Widzisz, to jedyna sposobność, że może przyjść do słowa od czasu jak się ożenił.

— Spiesz się Waćpani z ubieraniem, bo na nas czekają.

— Ponieważ czekają na nas, nie ma potrzeby się spieszyć.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego".

Redaktor oddpowiezialny Marjan Hupczyc w Krakowie.